SOBOTA Nr 139 29 XI 1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ALARM

W SPRAWIE LEKTUR SZKOLNYCH

- Jak sobie radzicie ze zdobywaniem lektur do języka polskiego?
- Jak sprawa lektur przedstawia się w dostępnych Wam bibliotekach?
- Napiszcie! Zainteresujcie problemem lektur szkolnych Waszych nauczycieli!

CZEKAMY NA LISTY!

Wszystkie zawarte w nich opinie przekażemy do Ministerstwa Oświaty i Wychowania.

Szczegóły na str. 5.

Wieczór pełen tajemnic

Jutro Andrzejki! W dzisiejszy więc wieczór, zgodnie z ludową tradycją, dziewczęta i chłopcy przepowiadają sobie przyszłość. Najpopularniejszą zabawą-przepowiednią jest lanie wosku. Z kształtu odlanej figury można ponoć odczytać czy chłopiec, który kocha ma oczy niebieskie, czy też piwne, a z wędrujących po pokoju butów – która z dziewcząt pierwsza wyjdzie za mąż.

Fot. **M. Szymański**

Mogą podjąć seryjną produkcję od zaraz

POMOCE NAUKOWE PRZYGOTOWUJĄ UCZNIOWIE POZNAŃSKICH SZKÓŁ ŁĄCZNOŚCI

(EXPRESS POZNAŃSKI). W Zespole Szkół Łączności w Poznaniu przygotowano zestawy prostych tablic z elementami obwodów elektrycznych połączonych szeregowo, równolegle i szeregowo-równolegle, przeznaczone dla uczniów klas I – III w szkołach podstawowych. Zaprojektowane tablice nie tłuką się, nie łamią, są proste w obsłudze i znakomicie pobudzają wyobraźnię. Zestaw pomocy zaakceptowały nauczycielki prowadzące zajęcia w klasach najmłodszych. Warsztaty Zespołu Szkół Łączności mogą podjąć ich seryjną produkcję od zaraz. Dobrze, żeby stało się to jak najszybciej, bo ciekawość dzieci i ich trudne pytania: dlaczego żarówka świeci? dlaczego dzwonek dzwoni? – często pozostają bez odpowiedzi.

NARZĘDZIA SPRZED 14 TYS. LAT

Odkrycie na szczecińskich polach

SZCZECIN (PAP). Sensacyjnych odkryć archeologicznych dokonano w rejonie stacji archeologicznej „Świdowie" koło Szczecina. Grupa studentów archeologii z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz zbieracz-amator dr Jerzy Gergielewicz (z zawodu lekarz, z zamiłowania fotograf i ornitolog) znaleźli około 1900 różnych starych narzędzi. Tereny, na których znaleziono narzędzia to tzw. stanowiska wielokulturowe. Najstarsze fragmenty narzędzi pochodzą ze schyłku paleolitu (około 14 tys. lat przed naszą erą). Zdaniem naukowców przedmioty te służyły pierwszym ludziom, którzy po ustąpieniu lodowca weszli na te tereny.

(kż)

Bęben z wyspy Ambry (archipelag Nowe Hebrydy) służył jako telegraf bez drutu i instrument muzyczny w czasie rytualnych uroczystości. Widoczna szczelina potęguje dźwięk

SKARBY Z DŻAPA-NAUT

Rytm, wybijany zrazu wolno, nabiera coraz większego tempa, aby po chwili przejść w grad uderzeń. Fala dudniących dźwięków odbitych od ścian i sklepienia sali zalewa mnie i pochłania bez reszty. W bęben – zrobiony z kilkumetrowego pnia drzewa chlebowego zwieńczony wyrzeźbioną „baśniową" głową – wali zapamiętale Aloi Pilioko, Polinezyjczyk. Aloi, zupełnie zatracił poczucie miejsca i czasu. Co oznacza ten rytm? Wzywa współplemieńców do walki? Zaprasza na rytualne tańce? A może przywołuje duchy przodków, aby z Polinezji odległej o około dziesięć tysięcy kilometrów przybyły do serca Warszawy, gdzie w Arsenale prezentowana jest sztuka ludów Oceanii...

CIĄG DALSZY NA STR. 3

Fot. **W. Mroczek**

KARMNIK TYPU LUX

Niemało trudu zadał sobie twórca tego oryginalnego karmnika dla ptaków, który odkryliśmy przypadkiem na zapleczu domów przy ulicy Grójeckiej w Warszawie. Jest to drewniany domek z okienkami, drzwiami i... kominem. Jest nawet ogrodzony, a w środku na ptaki czeka mnóstwo smakołyków. **(kż)**

Fot. **K. Żak**

Na pierwszym piętrze truskawki, na drugim...

RUMUNIA (PAP). W rumuńskim mieście Medias, nawiasem mówiąc – nieurodzajnym, jego mieszkaniec założył niezwykły, bo czteropiętrowy sad. Sad budzi wśród mieszkańców zrozumiałe zainteresowanie i lekką zazdrość. Rosną tam bowiem: na pierwszym „piętrze" – truskawki, na drugim – krzaki czerwonych porzeczek, na trzecim – winogrona, a na czwartym – pigwy, jabłonie i grusze. **(kl)**

Coraz lepsza jazda GRZEGORZA FILIPOWSKIEGO

Z wielkim zainteresowaniem obserwowane są występy bodajże najbardziej utalentowanego zawodnika w historii polskiego łyżwiarstwa, Grzegorza Filipowskiego. Łódzki solista (na zdjęciu) ma dopiero 14 lat, a już potrafi wiele. Niedawno, startując w międzynarodowych zawodach w Hadze, zajął szóstą lokatę. Pokonał wysoko notowanych konkurentów, między innymi 17-letniego Leonida Kaznakowa (ZSRR) i Josefa Sobovczika (Czechosłowacja). Łyżwiarze, którzy wyprzedzili naszego reprezentanta, mają po 20 lat i więcej.

Grzegorz łyżwiarskie lekcje pobiera obecnie w Stanach Zjednoczonych u znakomitego fachowca Carlo Fassiego, który wyszkolił już niejednego mistrza. Należy więc sądzić, że łodzianin, mający opinię bardzo pracowitego i sumiennego, jeździć będzie coraz lepiej. Warto dodać, że w tej dyscyplinie do mocarzy nigdy się nie zaliczaliśmy. Grzegorzowi życzymy zatem więcej udanych imprez, z mistrzostwami świata i Europy łącznie. Jeśli będzie tylko możliwość rozmowy z ambitnym łyżwiarzem, postaramy się o nim napisać znacznie więcej. **(zp)**

Fto. **CAF**

Wolne soboty w szkołach TAK czy NIE?

W nr 132 „Świata Młodych" wydrukowaliśmy rozmowę z panią M.T. Mazurową, dyrektorem w Ministerstwie Oświaty I Wychowania, która przedstawiła dwa warianty wprowadzenia wolnych sobót w szkole. Sprawa ta dotyczy przede wszystkim Was, naszych Czytelników. Jak jest ona dla Was ważna, świadczą gorące dyskusje w szkołach, na lekcjach wychowawczych oraz listy, które do nas napisaliście. Przyszło ich bardzo wiele. Większość z Was (około 70 proc.) wypowiada się przeciwko wolnym sobotom w szkołach. Uważając, że może to być stanowisko niezbyt popularne – bo któż nie chciałby dodatkowego dnia wolnego od pracy – bardzo szczegółowo i rozsądnie je uzasadniacie. Zastanawiacie się, czy przy obecnym programie nauczania nie przyniesie to więcej szkody niż pożytku. Macie również swoje propozycje. Wasze opinie przekazujemy Ministerstwu Oświaty i Wychowania, które wkrótce musi podjąć ostateczną decyzję. Poniżej przedstawiamy reprezentatywne dla tej dyskusji głosy.

NIE PRACUJEMY WCALE MNIEJ NIŻ DOROŚLI

Uważamy, że wolna sobota powinna być także w szkołach. Nam też należy się dwudniowy odpoczynek od szkolnych zajęć. Nie pracujemy wcale mniej niż dorośli. (**Uczniowie ze Szkoły Podstawowej nr 50 w Szczecinie**).

Właśnie pani dyrektor naszej szkoły mówiła nam o wolnych sobotach pod warunkiem, że będą wakacje krótsze i ferii zimowych nie będzie. Uważam, że lepiej dodać lekcji w pozostałe dni tygodnia. Gdyby były wolne soboty, to byłoby więcej czasu na naukę i pomoc w domu. Ja na naukę mam mniej czasu niż inne koleżanki, ponieważ muszę pomagać mamie w ogrodzie (**Małgosia**).

Chodzę do VII klasy. Jestem najlepszą uczennicą w klasie, ale to nie znaczy, że jestem zdolna i nie uczę się. Uczę się bardzo dużo, siedzę do godziny 12 w nocy, a czasem i dłużej. Od początku tego roku nie przeczytałam żadnej książki, po prostu nie mam na to czasu. Sądzę, że wolne soboty przydałyby się każdemu (**Ania z Radomia**).

Na godzinie wychowawczej dyskutowaliśmy na temat wolnych sobót i ustaliliśmy jednogłośnie, że wolne soboty należą się i nam. Rozumiemy, że będą duże trudności z nadrabianiem programu, dlatego zgadzamy się z tym, aby zostały skrócone ferie i wakacje. Większość rodziców pracuje, mało czasu spędzamy z nimi. Przykro by nam było w każdą sobotę wstawać o 7 rano, gdy rodzice zostają w domu (**Uczniowie kl. VII, Szk. Podst. w Osobnicy**).

– Cześć Gosiu! Co robiłaś przez te dwa dni wolne?
– Spałam.
– Nie szkoda ci? Dwa dni!
– No, wiesz musiałam zebrać siły, zregenerować się na nadchodzące pięć.

Nadesłała Marlena Drabek
Szczecin

Temat wolnych sobót został podjęty na godzinie wychowawczej. Po krótkiej dyskusji pani dała nam do zrozumienia, że nam się to nie opłaca, bo będziemy mieli krótsze wakacje. A ja nie chciałabym uczyć się wtedy, gdy świeci słońce i na dworze jest przyjemnie. Trzeba to zorganizować tak, abyśmy nie tracili wakacji. Można skrócić lekcje o 5 min. Nic się takiego nie stanie. A dla słabszego czy mocniejszego ucznia 5 min. naprawdę nie gra roli. (**Ema, kl. VIII**).

Chciałabym, abyście wiedzieli, że zarówno ja, jak i cała moja klasa, która liczy 31 osób, jest za wprowadzeniem wolnych sobót. Wielu z naszej klasy mieszka w internacie – dla nich wolne soboty to możliwość spędzenia 2 dni w domu z rodzicami i rodzeństwem. Dla tych co dojeżdżają (a do nich należę i ja) wolna sobota byłaby jedynym odpoczynkiem. Gdy wracam do domu po odstaniu na przystanku 2 godzin, boli mnie głowa, trzęsę się z zimna i chce mi się płakać, gdy spojrzę na stolik w moim pokoju, gdzie leży stos książek, które muszę przeczytać i stos zadań, które muszę odrobić. Jak mam się uczyć? Jest 17, gdy zasiadam za stołem i widzę, że uda mi się to wszystko nadrobić najszybciej do 24. Ładna perspektywa! A rano trzeba wstać o 6,30 i z uśmiechem na twarzy wyruszyć na przystanek... (**Alicja, Lic. Ekonom.**).

JESTEM KATEGORYCZNIE PRZECIW!

Dodanie godzin w tygodniu? – Absurd. Teraz siedzimy w szkole 6 godzin, a będziemy 7, czyli przybędzie jeden przedmiot więcej do codziennej nauki. A co z kółkami przedmiotowymi i zajęciami pozalekcyjnymi? Nauczyciele też przecież będą zmęczeni. Skrócenie lekcji do 40 min. to z kolei mniej czasu na klasówkę i nowy temat lekcji. Nauczyciele będą więc rąbać kartkówki, co wpłynie na zbytnią nerwowość wielu uczniów. Obecnie na 6 lekcji nie jesteśmy w stanie pisać klasówek, jesteśmy tak zmęczeni – a co będzie później?

Wolne soboty tylko w jesieni i na wiosnę? W zimie też można wyjechać na narty czy sanki. Ale nie oszukujmy się! Będą to wolne soboty dla bogaczy, oni wyjadą na działkę za miasto. A reszta? Będzie się włóczyć po mieście. Czy to naprawdę taki wypoczynek – przebywanie w zasmrodzonym mieście czy dusznym kinie? Osobiście uważam, że jedna wolna sobota w miesiącu, razem dla dzieci i dorosłych, w zupełności nam wystarczy. W większości krajów uczniowie też nie mają wolnych sobót. Widocznie przemyślano tam tę sprawę dokładnie, skoro postanowiono utrzymać sześciodniowy tydzień nauczania. (**Joanna z Warszawy**).

ZASTANÓWMY SIĘ LOGICZNIE

Oczywiście, wielu osobom perspektywa dwóch wolnych dni w tygodniu wydaje się czymś wspaniałym. Nie przeczę. Jeżeli zastanowimy się, to dojdziemy do wniosku, że nie jest to takie wspaniałe przedsięwzięcie. Automatycznie zwiększy się ilość godzin lekcyjnych w dniach pozostałych, a także ilość zadań i materiału do nauczania. Czy warto dla wolnej soboty ślęczeć nad lekcjami do 20 i dłużej? Każdy uczeń narzeka, że ma 6–7 lekcji dziennie i nie starcza mu czasu na rozrywkę. Jeżeli teraz przez wolną sobotę zwiększy się ilość lekcji, to w ogóle nie będzie wolnego czasu na co dzień. Czy warto więc mieć czas na odpoczynek tylko w sobotę i niedzielę? Trzeba także pomyśleć o dojeżdżających i tych, którzy mieszkają na stancjach, co oprócz nauki muszą wykonywać wiele innych czynności (**Wojtek z Grudziądza**).

Ja jestem wrogiem wprowadzenia pięciodniowego tygodnia nauki w szkole. Owszem, na on swoje plusy, ale jaki byłby sens w skracaniu ferii, pauz itp., skoro wszyscy uważają, że są za krótkie? **Na pewno raz w miesiącu przydałaby się wolna sobota**. Ale siedzenie w szkole do godziny 16–17, ślęczenie nad książkami do północy i czekanie na sobotę jak na zbawienie uważam za nonsens (**Anka z Bydgoszczy**).

DOBA, TO ZA KRÓTKO

Toczą się między nami rozmowy na temat wolnych sobót. Dochodzimy jednak do jednego wniosku. To po prostu BEZ SENSU. W moim odczuciu, kiedy będzie program zreformowany, to takie rzeczy mogą zaistnieć. Przeciętnie mam 6–7 godzin lekcyjnych w ciągu dnia. Wolna sobota – to oznaczałoby 7–8 lekcji. Po pierwszych sześciu, już mam dosyć wszystkiego, a co będzie po ośmiu? Przyjadę do domu ok. godz. 18-tej, co najmniej 3 godziny – to minimum – muszę siedzieć nad książkami. A kółka zainteresowań? Chyba, żeby dobę przedłużyć do 36 godzin, ale to niemożliwe. Sama aktywnie działam w harcerstwie. Czy mam więc z tego zrezygnować? Tylko po to, aby mieć wolną sobotę? Ja naprawdę wolę mieć normalne lekcje przez sześć dni w tygodniu, prawidłowe ferie, wakacje i chodzić wyspana, a nie dosypiać w tramwaju lub na lekcjach. Wydaje mi się, że można ewentualnie **wprowadzić 4 godziny lekcyjne w soboty**, a nie cały wolny dzień.

(**Marlena ze Szczecina**).

ZAMIAST WOLNYCH SOBÓT, DNI BEZ SPRAWDZIANÓW

Przy systemie pięciodniowym trzeba będzie wydłużyć czas pracy w szkole. A przygotowanie lekcji na następny dzień, a pomoc w domu? Dojdzie do tego, że dwa dni wolne przeznaczone na odpoczynek będą służyły na uzupełnianie wiadomości. W zamian za wolne soboty można byłoby wprowadzić we wszystkich szkołach (tak jak to już od lat jest w mojej) tak zwane **dni bez sprawdzianów**, czyli popularnie u nas zwane **„dni bez pytania"**. U nas to są dni: pierwszy poniedziałek, drugi wtorek, trzeci piątek i czwarta sobota każdego miesiąca. To znakomity pomysł, i sprawdzony. W przeddzień tych dni bez pytania można pójść do kina, obejrzeć film w telewizji czy poczytać dłużej książkę. Jesteśmy przeciwko wolnym sobotom! (**Alka i inni, Leszno**).

Wszystkie listy w sprawie „Wolnych sobót" przeczytała i do druku wybrała

Maria Jaworska

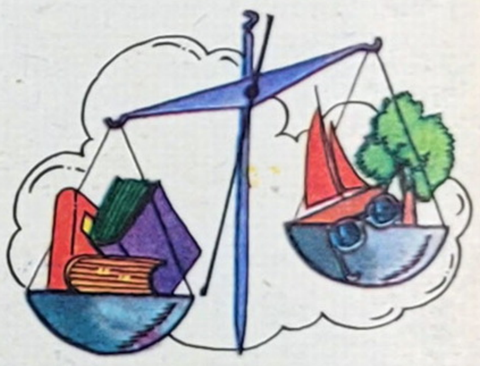

Codzienny olimpizm

Ludzie się rozgadali. I dobrze. Mają do tego prawo. A jest o czym mówić. Na tematy związane ze sportem również. A więc o fikcyjnych etatach pracowniczych, o nie ujawnionych nikomu wysokościach wynagrodzeń dla zawodników, o ich przekupywaniu. Pełna strojnych dotąd szat nasza kultura fizyczna okazała się nagle (oj, nie tak nagle) naga. Ba, miast tężyzny zobaczyliśmy cherlawy jej organizm. Dotyczy to głównie sportu wyczynowego, co najmniej na poziomie I i II ligi ogólnopolskiej. Niezależnie od reprezentowanej dyscypliny.

Wiele nieprawidłowości, co tu ukrywać, nagromadziło się również w sporcie masowym, a więc tym, który jest fundamentalną postawą wyczynu. Wielokrotnie już rozwodzono się na te tematy, pisano o sprawach związanych z małą ilością boisk powszechnego użytku, wysokich cenach, niedostępności i wątpliwej jakości sprzętu. Wysłuchaliśmy mnóstwo uczonych referatów dotyczących potrzeby aktywnego spędzania wolnych chwil (statystycznie wygląda to tak, że przeciętny Kowalski jest o wiele mniej sprawny od przeciętnego Brauna czy Schmidta). Panowie w nienagannie skrojonych garniturach sięgali po różne mądre argumenty, ale sami nie splamili się zrzuceniem z siebie tytułów dyrektorów, docentów, przywdzianiem dresu, maleńkim truchtem na świeżym powietrzu. Nie sięgnęli więc po argumenty najbardziej przekonywające. I chyba dlatego wszystkie ogromne przedsięwzięcia, które miały upowszechniać sport oraz treść pięknie wyeksponowanych haseł wzięły w łeb.

A może ci sami mówcy nie mieli po prostu gdzie biegać? I to jest możliwe. Wszak na nowo budowanych dziś osiedlach widać najczęściej efektowne rabatki, z fryzjerską dokładnością podstrzyżone trawniki, na których widnieją tabliczki „Szanuj zieleń". Te geometrycznie wytyczone kwietniki (albo co gorsze – betonowe pustynie) wygoniły prawdziwych amatorów zabaw i gier, dzieci i młodzież. Oporni się znaleźli. Sam widzę jak na moim, wyasfaltowanym podwórku chłopaki kopią czasami piłkę. I prowadzą prawdziwą wojnę z dozorcą. Jemu nie w smak ich harce, których ubocznym rezultatem bywają nawet wybite skórzaną kulą szyby. Rozumiem dozorcę, ale też rozgrzeszam Krzyśka, Janka czy Andrzeja.

Polski sport rodził się na przeróżnych placach zabaw, w ogródkach pana Jordana (iluż olimpijczyków na nich wyrosło!). Trzeba powiedzieć, że są piękne tradycje w zakresie planowania nowoczesnych dzielnic z terenami do codziennego „sportowania". Tylko który ze współczesnych urbanistów, a zwłaszcza inwestorów, chciał je uwzględnić w swoich planach, wcielić w życie. Na warszawskim Ursynowie, Bródnie, Stegnach nie dostrzeże człowiek najmniejszego chociażby boiska. Nawet na Agrykoli, zamiast tradycyjnych tam placów rekreacyjnych, pojawiły się wymuskane trawniki. Podobnie jest w Szczecinie, Katowicach, Rzeszowie...

Rzecz charakterystyczna, że ten problem zaczyna dotyczyć także małych miasteczek, a nawet wsi. Nie odosobnione to wypadki, że na jedynych w konkretnej miejscowości boiskach, czasami wykonanych w czynie społecznym przez samą młodzież, urządza się składowiska przeróżnych rupieci, wysypiska odpadów, modne ostatnio parkingi dla samochodów. Donoszą o tym chociażby uczestnicy naszych piłkarskich turniejów, łyżwiarscy entuzjaści „Złotego Krążka", donoszą zwyczajni czytelnicy, którzy zaczynają tracić wcale nie przysłowiowy grunt.

Sami więc tworzymy swoistą „kulturę fizyczną", polegającą na biernym odbieraniu telewizyjnych spektakli, nie zawsze pokazujących wszystko co faktycznie dzieje się na okolonym potężnymi trybunami stadionie. I ciesząc się ze wspaniałych osiągnięć garstki olimpijczyków, coraz częściej zapominamy o naszym codziennym olimpiźmie. O możliwościach swobodnego kopania i rzucania piłki przez Krzyśków, Janków czy Andrzejów.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Na zdjęciu z lewej: Małgosia, Agnieszka i Jacek pozują do zdjęcia. Jacek założył na szyję ozdoby wojowników z Nowej Gwinei wykonane z muszelek kauri, kłów świni i zębów dzikich zwierząt. Po prawej: Maska używana przy uroczystościach pogrzebowych przez plemię Małych Nanbasów na wyspie Malakula (Nowe Hebrydy)

Byłam przez tydzień na wyspach Oceanii — nie ruszając się z Warszawy

SKARBY Z DŻAPANAUT

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Ponad tydzień przychodzę tu dzień w dzień. Nie tylko po to, aby wysłuchiwać tych niesamowitych koncertów, jakby przeniesionych z odległej epoki. Eksponaty znajdujące się na wystawie każą przenieść się wyobraźnią na Nową Gwineę lub na jedną z polinezyjskich wysp.

Dziś dodatkowa atrakcja – pan Mikołaj Miszotuszkin, pozwala ubrać się w rytualne stroje.

Małgosia z Agnieszką mają już na sobie spódniczki z rafii. Pan Mikołaj wybiera z gablot naszyjniki. Jacek zawiesił na szyi ozdoby wojowników z Nowej Gwinei, wykonane z zakrzywionych kłów świni, muszelek kauri, zębów dzikich zwierząt i zapowiada, że jeżeli i ja nie przebiorę się za „wyspiarkę" to nie będzie pozował do zdjęcia. Zawiązuję więc sobie barwną spódniczkę, ale widzę, że coś nie jest w porządku. Mikołaj i Pilioko, najwyraźniej tracą humor. Naruszyłam tabu. Ta właśnie spódniczka jest męskim przyodziewkiem.

Na Nowej Gwinei i na wielu innych wyspach do tej pory istnieje ustrój rodowy. Rządy sprawują mężczyźni. Jednoczą się oni jakby w tajnych związkach. Mają domy-kluby przeznaczone wyłącznie dla siebie. Wstęp do nich kobietom, dzieciom i niewtajemniczonym jest zakazany pod groźbą utraty życia. Dom przeważnie znajduje się w środku wsi. Jest większy, bardziej okazały od innych. Ot, chociażby ten ze wsi Dżapanaut na Nowej Gwinei, nad rzeką Sepik, o którym opowiada Mikołaj Miszotuszkin.

Wachlarz z wyspy Wallisa na Polinezji

– Ma on 15 metrów wysokości i kilkanaście długości. Podłoga wsparta na palach, ułożona trzy metry nad ziemią, bo rzeka często podnosi swój poziom. A, że komarów tam mnóstwo, więc na ziemi, pod podłogą pali się ognisko, żeby odstraszyć owady. Fasadę domu zdobią ogromne maski, uplecione z liści pandanusa. Dach misternie ułożony również z pandanusa, a wnętrze... Przechowuje się tu stroje obrzędowe, figury obrazujące przodków, bóstwa i maski. U pułapu i na ścianach umocowane są drewniane, rzeźbione w kształcie postaci ludzkich haki. Zawieszono na nich naczynia drewniane i gliniane do przyrządzania strawy, torby i przeróżne amulety. Wszystko, tak jak tu na wystawie widzisz, wykonane z niezwykłym poczuciem piękna. I wyobraź sobie, że ten pękaty gliniany gar do pieczenia mięsa z realistyczną rzeźbą jaszczurki wykonał „dzikus" posługujący się kamiennymi narzędziami. Ten sam, w naszym pojęciu, „dzikus" zdobi dziób swojej łodzi precyzyjnie wyrzeźbioną kamiennym toporkiem głową krokodyla...

Podstawowe prace w glinie wykonują kobiety. Lepią z długich wałeczków naczynia. Następnie obijają je drewnianą łopatką, od środka podkładając odpowiedni kamień. Kiedy już forma jest ukształtowana, pracę przejmują mężczyźni. Tylko oni mają prawo zdobienia. Właśnie ozdoby nadają przedmiotom i naczyniom magiczną siłę, bez której byłyby bezwartościowe dla swoich twórców.

– Ludy zamieszkujące Oceanię (poza Wyspą Wielkanocną), nie znały pisma. Całą wiedzę zawarto w legendach i rytualnych ceremoniałach. Przekazywano ją z pokolenia na pokolenie. Dziewczynkom – przez kobiety, a chłopcom przez mężczyzn. Niektóre z wysp objęte cywilizacją, zatraciły już w większości dawne tradycje. Tłumaczę więc rozmówcom – wyjaśnia pan Miszotuszkin – że najwyższy czas zacząć chronić co się jeszcze da uratować. Fakt, że jestem mężczyzną, również ułatwia mi zbieranie eksponatów. Pamiętam, była to już moja trzecia ekspedycja na Nową Gwineę, właśnie do wsi Dżapanaut nad Sepikiem. Wieczór, siedzimy w męskim domu. Zjedliśmy już, co tam gospodarze przygotowali – taro, sago i ryby. Oni rozmawiają między sobą, a ja w pewnym momencie powtarzam wypowiedziane przez nich zdanie. Wówczas odzywa się jeden ze starszych: – Słuchaj, powtórzyłeś właśnie nasze magiczne słowa. Jesteś tu trzeci raz. Bacznie ciebie obserwujemy i widzimy, że jesteś zupełnie inny niż pozostali biali. Odwiedza nas czasem misjonarz. Przyjeżdża, poucza, ale nie dzieli z nami pożywienia. Kiedy odwiedza nas administrator, przywozi własną pościel i własne jedzenie. Znamy też etnografa, który dosyć często u nas przebywa. Ale i on pozostaje obcy. Nikt nie jest taki jak ty. Nigdy nie widzieliśmy białego człowieka, przyjeżdżającego bez niczego, śpiącego z nami i jedzącego nasze jedzenie, jakie by ono nie było... I my myślimy, że ty jesteś wcieleniem jednego z naszych przodków, który wszedł w białą skórę...

Mikołaj Miszotuszkin, obywatel francuski rosyjskiego pochodzenia, jest właścicielem największej na świecie prywatnej kolekcji etnografii i sztuki Oceanii. Artysta-malarz z zawodu, ponad dwadzieścia lat mieszkający w tamtym rejonie świata, maluje, a za uzyskane ze sprzedaży obrazów pieniądze podróżuje po wyspach i kupuje eksponaty do kolekcji. Na zdjęciu – Mikołaj Miszotuszkin z jednym z eksponatów. Jest nią głowa przodka, licząca około sto lat

– Jasne, że takie traktowanie mojej osoby – opowiada pan Mikołaj Miszotuszkin poza osobistą satysfakcją, ułatwia mi pobyt wśród tubylców i rozszerzanie kolekcji. Podkreślam, że na ogół staram się zbierać przedmioty stare, wysłużone, czasem nawet uszkodzone. Dla mnie mają one wartość dodatkową – bowiem towarzyszyły ludziom w ich życiu, przeżyły z nimi ich historię i same dzięki temu stały się historycznymi rekwizytami. Spójrz na ten podgłówek. Przed kilku laty na wyspie Fidżi odbywał się festiwal sztuki. Między innymi przyjechał tongański rzeźbiarz. Wśród swoich eksponatów miał ten właśnie podgłówek, który mnie zainteresował. Ba, zapragnąłem go mieć. Niestety, tongijczyk odmówił stanowczo, tłumacząc, że jest to rodzinny relikt, a więc taki, przedmiot, który przechodzi z pokolenia na pokolenie. W nocy miałem sen. Oto nad brzegiem morza stoi niezwykle piękna kobieta, wysoka, o długich, czarnych włosach. W ręku trzyma mój upragniony podgłówek i coś do mnie mówi... Rano opowiadam o tym rzeźbiarzowi z Tonga i widzę, że ten zmienia się na twarzy.

– Słuchaj – mówi. – Tak właśnie wyglądała w okresie swojej młodości moja babka. Od niej to właśnie dawno temu otrzymałem ten przedmiot. Widocznie ona życzy sobie abym Ci go przekazał.

I tak dzięki głębokiej wierze ludów Oceanii w istniejący świat duchów, otrzymałem upragniony eksponat.

Ludzie nierzadko pytają po co mi to wszystko potrzebne. Pieniądze mógłbym przecież spożytkować dla siebie. Uważam – mówi pan Mikołaj – że każdy ma obowiązek pozostawić po sobie jakiś trwały ślad. I jeżeli wśród tysięcy młodych ludzi oglądających moje zbiory znajdzie się chociaż jeden, który dzięki nim znajdzie swoją pasję – ja będę mógł uznać, że nie zmarnowałem życia...

WIESŁAWA MROCZEK

Fot. **autorki**

REDAKCYJNA POCZTA

Potępić, czy pomagać?

W VI klasie przyszła do nas nowa dziewczyna. Ponieważ w swoim mieście wpadła w złe towarzystwo, rodzice postanowili zmienić jej środowisko. Zamieszkała u swojej ciotki. W naszej szkole też dobrała sobie nieodpowiednie koleżanki. Bliżej poznałam ją na jednej z wolnych lekcji. Doszłam do wniosku, że to bardzo fajna dziewczyna. Zapragnęłam odciągnąć ją od tej „gorszej młodzieży". Zaczęłam zapraszać ją do siebie, poznałam z rodzicami i siostrą. Zaobserwowałam, iż zmieniła się na korzyść. Podczas długich spacerów opowiada mi o sobie. Moim zdaniem zeszła ona już ze złej drogi. Do klasy to jednak nie dociera. Wszyscy wolą trzymać się od niej z daleka. Dlaczego nikt poza mną nie chce jej pomóc?

Ewa

Maciej Mazurowicz – (13 lat) – ul. Ante Zuanica 21 IV KAT DESNO 79-000 MOSTAR – Jugosławia – interesuje się lekkoatletyką, koszykówką, pływaniem – nawet gdy ma kłopoty, uśmiech nie schodzi mu z twarzy – pragnie nawiązać korespondencję z koleżankami i kolegami z Polski.

Lubię tańczyć

Po przeczytaniu listu pt. „Taniec, to strata czasu" odniosłem wrażenie, iż jego autorka jest chwalipiętą. Wyliczając wszystkie swoje zamiłowania, doprowadziła mnie do białej gorączki. Przecież ja też mam sporo wartościowych zainteresowań, ale od czasu do czasu lubię potańczyć. Zresztą, modne obecnie tańce wymagają trochę wysiłku fizycznego. Jest to swojego rodzaju sport. Nie mogę nawet nazwać „Kasztanki" staroświecką, ponieważ tańczyło się już setki lat temu. Każdy taniec i ten klasyczny, i nowoczesny jest dla mnie piękny oraz wart nauczenia się bez względu na sądy „Kasztanki".

Marek

Chcę żyć jak piętnastolatka

Mam piętnaście lat, a w domu wszystkim wydaje się, że pięć lub sześć. Moje życie codziennie upływa w jednakowy sposób. Zaraz po przyjściu ze szkoły rozpoczynają się awantury. O wszystko. Najstarsza siostra twierdzi, że w moim wieku nie mogła sobie pozwolić na to co ja teraz. Tymczasem wiem, że chodziła z chłopakiem mając piętnaście lat, a ja nie mogę nawet porozmawiać z kolegą, bo zaraz mówią, że to mój kawaler (bardzo nie lubię tego zwrotu). Nie wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby moja rodzina zobaczyła mnie idącą z chłopakiem za rękę (tak robi większość moich koleżanek). O wyjściu z domu nie ma mowy. Ratują mnie treningi, które mam dwa razy w tygodniu. Któregoś dnia dostałam od kolegi list. Prosił mnie, abym poszła z nim na urodziny. Nie dość, że na urodziny pójść nie mogłam, musiałam odpisać, aby więcej nie pisał do mnie. List oczywiście został otwarty nie przeze mnie, lecz przez moją „rodzinkę". Jak tu dalej żyć w takim domu?

Krystyna

OD REDAKCJI: Sprawę anonimów poruszaliśmy już niejednokrotnie. Często dostajemy bardzo ważny list z prośbą: „redakcjo, pomóż, redakcjo ratuj". Adresat wymaga natychmiastowej pomocy, pozostaje jednak anonimowy. Komu więc mamy pomóc, do kogo napisać? Apelujemy więc – nie piszcie listów anonimowych! Zawsze podawajcie swój adres, a jeśli nie chcecie, żeby zostać ujawnionym, zaznaczcie to w liście i wtedy adres zatrzymamy tylko do wiadomości redakcji. (mm)

Czy tylko bohater jednej nocy?

Rozumem była mu miłość Ojczyzny

Piotr Wysocki zbudowany był solidnie, miał 180 cm wzrostu, oczy niebieskie, włosy ciemne, donośny, spokojny głos. Był poważny, opanowany, surowy, ale i serdeczny dla kolegów i podwładnych. Mówiono o nim, że „rozumem jest mu miłość ojczyzny".

Jest zimne listopadowe popołudnie. Opadają ostatnie liście. Na szarej płycie wyryty napis: WSZYSTKO DLA OJCZYZNY, NIC DLA MNIE. Nagrobny kamień okrywa biało-czerwona harcerska chusta. Wpięte w nią szkolne tarcze – dowód pamięci o bohaterze tamtej Listopadowej Nocy.

Stoję u mogiły Piotra Wysockiego. Płoną znicze. Młody, tuż po uniwersyteckim dyplomie nauczyciel historii, Wojciech Górski, pochyla się, by zapalić zdmuchnięty wiatrem płomyk. Zbliża zgasłą lampkę do chybotliwego ogienka. Osłania go dłonią. Ten gest – jak symbol.

Myślę: iluż polskich nauczycieli odczytywało głośno i tłumaczyło uczniom słowa przywódcy spisku podchorążych „Wszystko dla ojczyzny, nic dla mnie"...

„Piętnaście lat wiekowym ciężało kamieniem.
Złotem pchani służalcy; co krew naszą ssali,
W czynach i modłach nawet naszych szpiegowali.
I zbrodnią było u nich karmić się wspomnieniem.
Wszędzie gasła nadzieja i tępiała siła,
Tylko w młodzieży jeszcze ducha nie zgasili.
Oni młodego orła w piersiach wykarmili,
Szkoła Podchorążych latać go uczyła."

Tak o Szkole napisał 20-letni poeta i uczestnik Powstania Listopadowego, Dominik Magnuszewski.

Piotr Wysocki, przywódca spisku, odznaczał się wyjątkową skromnością. Wynikała ona być może z pewnego rodzaju kompleksu. Syn zubożałego dzierżawcy tylko przez cztery lata pobierał nauki w szkole pijarów. Zaś poziom Szkoły Podchorążych, gdzie przebywał od 1824 roku, nie był wysoki. Książę Konstanty, brat cara Mikołaja, dowódca Wojska Polskiego, nie wykazywał żadnego zainteresowania intelektualnym poziomem elewów. Uczono regulaminu służby frontowej, komenderowania, służby garnizonowej, a przede wszystkim musztry, musztry, musztry...

Podchorążowie stanowili zwartą, solidarną, koleżeńską gromadę. Wysocki cieszył się ich poważaniem. Do koszar w warszawskich Łazienkach przenikały – mimo utrudnień, gdyż starano się, aby system donosicieli i szpiegów funkcjonował doskonale – wiadomości polityczne ze świata. Czytywano książki, kontaktowano się ze środowiskiem kulturalnym Warszawy. Podchorążowie boleli nad losem kraju, czuli się jego solą i nadzieją. Nienawidzili księcia Konstantego, rozkochanego tylko w paradnych marszach.

Organizując sprzysiężenie, które dało początek powstaniu narodowemu, Wysocki był przekonany, że losy rewolucji znajdą się w godniejszych niż jego, podporucznika, rękach. Ani on, ani jego młodsi koledzy nie mieli „historycznych" nazwisk. Było tylu wsławionych napoleońskimi wojnami generałów... W jednym z nich upatrywali wodza. Jak było to naiwne i niepolityczne rozumowanie – pokazała historia. Marsz podchorążych z Łazienek pod Arsenał był marszem tragicznym. Uznawany za wielkiego patriotę, powszechnie lubiany, szanowany generał Stanisław Potocki, którego na swej drodze spotkali odpowiedział: „dzieci, uspokójcie się". Nie chciał się do nich przyłączyć. Nie pomogły błagania podchorążych i Wysockiego. Inni generałowie zachowali się podobnie...

Jak potoczyły się losy powstania, wiemy. Co było dalej z Piotrem Wysockim?

Swój powstańczy bój zakończył 6 września 1831 roku na Woli, gdzie około godziny 11-tej poddały się resztki obrońców, a ostatni walczący padli wraz z dowódcą, generałem Józefem Sowińskim. Ranny w nogę odłamkiem granatu, Piotr nie mógł się podźwignąć, gdyż nogę tę boleśnie zwichnął.

Został wzięty do niewoli jako „więzień stanu", Wkrótce przewieziono go do Bobrujska. Zakutego w kajdany umieszczono w lochach fortecznych. Oczekiwał na rozprawę przed rosyjskim sądem polowym. Powiedział wtedy: ***„W r. 1830 miałem nadzieję oswobodzenia Polski spod władzy Rosji"***. Było to wyzwanie wobec sądu. Wyrok mógł zapaść tylko jeden – śmierć. Skazano go na śmierć przez ćwiartowanie. Wyrok ten – w rocznicę Powstania Listopadowego – zatwierdził generał Kolen, ale władzy nadrzędnej takie okrucieństwo nie odpowiadało. „Powiesić" – brzmiał rozkaz.

Nie stanął jednak Wysocki pod szubienicą. Sam car Mikołaj I zażądał akt procesu i uznał rozprawę za niebyłą. Więźnia kazał skierować do dyspozycji feldmarszałka Paskiewicza, pogromcy zbuntowanej Warszawy. Car postanowił urządzić wielki proces. Skutego w kajdany Wysockiego przetransportowano do zamojskiej twierdzy. Osadzono go w tym samym miejscu, gdzie przedtem siedział Walerian Łukasiński. Nie wiadomo, czy „więzień stanu" w ogóle wiedział, że 1 listopada 1831 roku, a więc w parę dni po wyroku w Bobrujsku – Mikołaj ustanowił Nadzwyczajny Sąd Kryminalny z siedzibą w Warszawie i że tu go przywiozą. Osadzono go w celi klasztoru pokarmelickiego na Lesznie (gdzie także więziono Łukasińskiego), przykuto do ściany. 25 razy wywlekano na przesłuchania. Wszystko brał na siebie, nie zaparł się idei powstania, osłaniał innych. W ostatnim słowie powiedział: ***„Nie spodziewam się za moje czyny otrzymać żadnej łaski ani darowania winy mojej"***. Wyrok śmierci zapadł po raz drugi. Podania o łaskę złożyć nie chciał. Napisał za to: ***„Nie dlatego broń podjął, żebym prosił cesarza o łaskę, ale dlatego, żeby jej mój naród nigdy nie potrzebował"***.

Jednakże car, licząc się z opinią Europy, przeciwną krwawym represjom wobec byłych powstańców, złagodził karę na 20 lat ciężkich robót na Syberii. Miał więc Wysocki umierać długo, w upokorzeniach katorżniczej pracy. Próbował ucieczki. Schwytano go, skazano na 1000 kijów. Żelazny organizm żołnierza przetrzymał i tę kaźń, a gdy więzień już mógł stanąć na nogach, został przykuty do taczek i przez dwa lata pracował w kopalni rudy. Uwolnionemu z kajdan pozwolono osiedlić się niedaleko kopalni, w wiosce Zakrajka. Zyskał tu sobie wśród miejscowej ludności i polskich zesłańców najgłębszy szacunek. Rosjanie wybierali go jako arbitra w trudnych sporach. Przylgnęła do niego opinia „Ojca i dobroczyńcy", stał się symbolem polskiego patriotyzmu. Zarobione pieniądze oddawał potrzebującym. Dla siebie zostawiał niewiele.

Po prawie 25 latach zesłania 60-letni Wysocki otrzymał zezwolenie na wyjazd do Królestwa Polskiego. Wracał do Ojczyzny. W Warszawie osiedlić się nie mógł – powiadomiono go o tym już w pogranicznym Terespolu. Wybrał więc miejsce swego urodzenia – Warkę. Po pewnym czasie okoliczni ziemianie z zebranych przez siebie funduszów zakupili dla niego dom i kawałek ziemi. Tu, schorowany, samotny, z otwierającymi się ranami dożył końca swego życia. Pochowano go na miejscowym cmentarzu.

Na wiadomość o śmierci bohatera Nocy Listopadowej młodzież z zaborów pruskiego i austriackiego, w Poznaniu, Krakowie i Lwowie nosiła symboliczną żałobę. Była nią biała róża na czerwonym tle...

Społeczeństwo Warki pamięta. W miejscu, gdzie stał dom Wysockiego, postawiono pomnik-tablicę. Jedna z ulic i dzielnica noszą jego imię. Uczniowie ze szkoły im. Piotra Wysockiego każdego roku w rocznicę powstania obchodzą Dzień Podchorążego. Nauczycielka języka polskiego, Bożena Kozłowska, w ubiegłym roku przygotowała scenariusz, według którego młodzież mogła przypomnieć mieszkańcom miasta najważniejsze wydarzenia z życia i działalności wielkiego syna tej ziemi. Dzisiaj w 150-lecie powstania ma się tu odbyć uroczysta wieczornica. Wysocki nie został tylko bohaterem jednej listopadowej nocy, nie umarł w pamięci Polaków...

ANNA GRZYBOWIECKA
Fot. i rep.: **W. Wróblewski**

ROK 1824, 2 PAŹDZIERNIKA. Sierżant Piotr Wysocki jest świadkiem dramatycznej sceny: kat zrywa szlify oficerskie z munduru majora Wojska Polskiego w Królestwie Polskim, Waleriana Łukasińskiego, przywódcy Towarzystwa Patriotycznego. Zdegradowany zostaje zakuty w kajdany i pcha katorżnicze taczki. Wysocki zapamiętuje tę scenę na całe życie; Łukasiński staje się dla niego najwznioślejszym wzorcem osobowym.

ROK 1828, 15 GRUDNIA. Podporucznik Piotr Wysocki, instruktor Szkoły Podchorążych Piechoty wraz z młodymi wojskowymi zawiązuje tajny związek. Cel: przygotowanie zbrojnego powstania narodowego.

ROK 1830, POCZĄTEK LISTOPADA. Władze carskie wpadają na trop spisku. **12 LISTOPADA** następują aresztowania. Związkowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Nici podejrzeń wiodą i do Szkoły Podchorążych. W unieszkodliwieniu podziemia przeszkadza sam książę Konstanty – ufa „swoim" podchorążym, lekceważy doniesienia agentów, uspokaja cara.

ROK 1830, 19, 20 LISTOPADA. Warszawskie gazety drukują ukaz Mikołaja I o postawieniu w stan gotowości wojennej armii rosyjskiej i Wojska Polskiego dla pchnięcia ich do Francji i Belgii, gdzie trwa rewolucja.

ROK 1830, 27 LISTOPADA. Sprzysiężeni dowiadują się, że car Mikołaj kategorycznie żąda represji i likwidacji spisku. Konstanty będzie działać! Zapada ostateczna (kilkakrotnie odsuwana w celu lepszego przygotowania) decyzja sprzysiężonych: Do broni!

ROK 1830, 29 LISTOPADA, GODZ. 6 WIECZÓR. Uzbrojony oddział rusza na Belweder – siedzibę Konstantego. Podporucznik Piotr Wysocki z podchorążymi przebija się przez pierścień rosyjskich kawalerzystów, staczając w łazienkowskim lasku największą bitwę Listopadowej Nocy. POWSTANIE NARODOWE STAJE SIĘ FAKTEM.

Stąd Piotr Wysocki wyprowadził żołnierzy, dając początek zbrojnemu powstaniu. Tak budynek Szkoły Podchorążych Piechoty wygląda dziś, w 150 lat po tamtym wydarzeniu. W grudniu 1830 roku szkoła została rozwiązana z woli generała Chłopickiego, dyktatora powstania, który czynu podchorążych nie pochwalał...

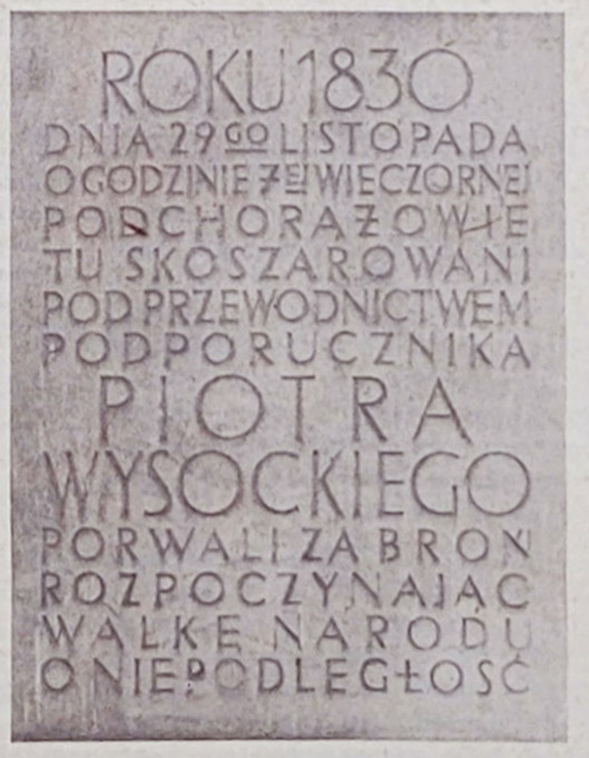

Tylko skromna tablica wmurowana w ścianę podchorążówki w Łazienkach upamiętnia nazwisko i czyn Piotra Wysockiego w Warszawie. Ulicę jego imienia znalazłam w dzielnicy bardzo od Łazienek odległej...

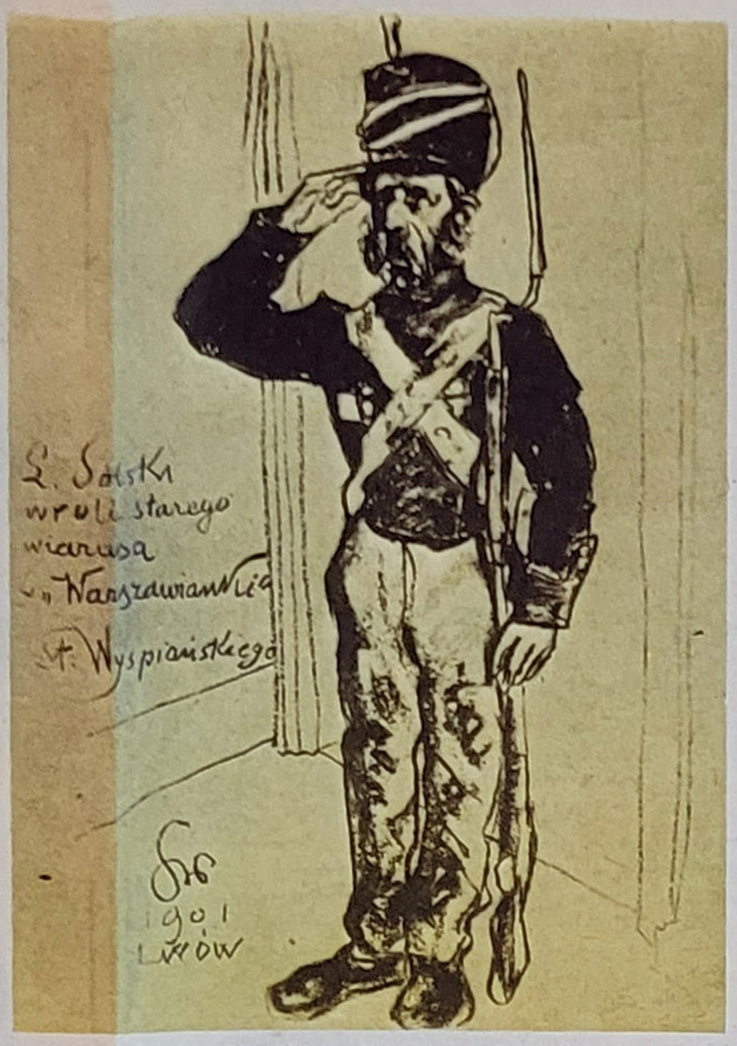

- WIDZENIE POETY
- SŁOWA I ŁZY
- NIEZNANY SIENKIEWICZ

Fakty z życia „Warszawianki"

W środę ostatniego listopada roku 1892 w salonie panny Leontyny Bochenkówny odbywało się towarzyskie spotkanie. Panna Leontyna *„...była to stara panna, ułomna grywała nam na brzęczącym klawikordzie pieśni narodowe, które śpiewaliśmy chórem"* – wspomina Tadeusz Boy-Żeleński. Tym razem, być może z uwagi na rocznicę, przy akompaniamencie fortepianu nucono „Warszawiankę."

„Po śpiewie zebrani prowadzili dalej swobodną rozmowę, tylko Wyspiański stał jak wryty, wpatrzony w okno. Poza tym oknem, pod wrażeniem muzyki i słów śpiewanych, widział to, czego by żaden inny śmiertelnik zobaczyć nie był w stanie. Widział ogromne, białe, śniegiem zasłane pole, po którym w dniu 25 lutego 1831 dywizja Żymirskiego szła na śmierć pewną, posłana fatalnym rozkazem generała w cylindrze i pelerynie... Chłopickiego. Wizją umysłu wskrzeszona, na tle słów poety francuskiego Delavigne'a, powstała piękna, choć grozę budząca „Warszawianka" Wyspiańskiego" – tak pisał o tym pamiętnym wieczorze kuzyn poety, Zenon Pavi, któremu zwierzał się Wyspiański, jego pierwszego zapoznając z nowo powstałym utworem. W dramacie Wyspiańskiego, opublikowanym w roku 1898, pieśń powstańcza z roku 1831 stanowi nastrojowe tło sceny, która się rozgrywa, jak to autor dokładnie określa: „25 lutego w dniu trzecim bitwy pod Grochowem". Tak jest w dramacie, w rzeczywistości jednak w tym czasie „Warszawianka" nie mogła być u nas znana. Słowa pieśni napisał francuski poeta Casimir Delavigne w Paryżu, wprawdzie jeszcze w lutym, ale polski przekład poznała powstańcza Warszawa dopiero w marcu, kiedy entuzjazm wygasał, panowała w mieście cholera, toczyły się ostatnie niezwyciężkie walki i nikomu nie było do śpiewu. Już właśnie w marcu, walcząc na powstańczym szańcu rozżalony polski poeta, Konstanty Gaszyński pisał wiersz „Do Francuzów" z francuskim mottem tej pieśni: *„Pour les vieux frères d'armes n'avez vous que des larmes?"* (Dla dawnych towarzyszy broni nie macie nic prócz łez?)

Słowa i łzy

W przededniu bitwy pod Grochowem 24 lutego w Paryżu odbywały się w imieniu walczących nabożeństwa, zebrania i manifestacje. Patronował im „Główny Komitet Francuski na korzyść sprawy Polaków". Wydał on Manifest solidaryzujący się z walką o wolność Polaków, a pod manifestem podpisało się wiele sławnych osobistości, wśród nich generał Lafayette, przyjaciel Kościuszki, poeci Pierre Jean Béranger i Casimir Delavigne, autor „La Varsovienne" („Warszawianka"). W pierwszym dniu marca, na uroczystym koncercie odbyło się w Paryżu prawykonanie „Warszawianki" w jęz. francuskim z muzyką Daniela Aubera.

Mieli Polacy w narodzie francuskim wielu przyjaciół, dawnych towarzyszy broni, spod znaków Napoleona, świeża była pamięć rewolucji lipcowej w Paryżu, a hasła wolności szczególnie umiłowane. Jednak nastroje i uczucia narodu nie miały wiele wspólnego z polityką rządu. Francuski minister spraw zagranicznych Sébastiani, do posła francuskiego w Wiedniu Maisona, słał depesze: 29 XII 1830 *„Jakkolwiek żywym jest zainteresowanie JKM sprawą Polski nie możemy zrobić żadnego kroku bez rachuby politycznej. Jesteśmy formalnymi sprzymierzeńcami cesarza Mikołaja"*, a 8 stycznia 1831 *„...Wierni naszej zasadzie nieinterwencji nie chcemy interweniować w spór między Mikołajem a Polską. Czynimy jedynie życzenia szczere, aby można było uniknąć rozlewu krwi."* Tak więc to co czuł naród francuski, pozostało jedynie w pieśni Delavigne'a. Jej początek przywołujący pamięć wspólnej walki i francuską rewolucję lipcową wydał się Wyspiańskiemu w roku 1892 na tyle nieaktualny, że zmienił pierwszą zwrotkę pieśni i orzeł biały już nie patrzy „w tęczę Franków", ale „w gwiazdę Polski".

Nieznany Sienkiewicz

W książeczce wydanej przez Komitet Francuski w Paryżu w roku 1831, w tekście dwujęzycznym zamieszczony jest Manifest Ludu Polskiego uchwalony na sesji sejmowej 20 grudnia 1830 r., w którym ujawniono Europie przyczyny powstania narodowego. Jest również Manifest Głównego Komitetu Francuskiego do Ludu Polskiego, wyrażający związki Polski z Francją i solidarność Francuzów z walką Polaków. Obok francuskiego tekstu „Warszawianki" Delavigne'a zamieszczono także przekład polski Bruno Kicińskiego, ówczesnego dziennikarza i poety. Przekład, podobnie jak i inne utwory tego autora uległ zapomnieniu. Do dziś śpiewamy „Warszawiankę" w innym przekładzie. Powstał on w połowie marca 1831 roku i drukowany był po raz pierwszy 27 marca w czasopiśmie „Polak Sumienny". Jako pieśń z muzyką Karola Kurpińskiego wykonano „Warszawiankę" po raz pierwszy w Teatrze Narodowym na początku kwietnia. Autorem przekładu był Karol Sienkiewicz. Poza nazwiskiem nie ma on nic wspólnego z autorem „Ogniem i mieczem". Karol pochodził ze szlacheckiej rodziny herbu Sieniuta, urodził się w roku 1793 we wsi Kalinówka na Ukrainie. Sławny Henryk Sienkiewicz wywodził swoją rodzinę z Tatarów litewskich, a ta uszlachcona pieczętowała się herbem Oszyk-Łabędź. Pisarz urodził się na Podlasiu. Mniej znany Karol Sienkiewicz godny jest jednak narodowej pamięci nie tylko ze względu na znakomity przekład „Warszawianki", która w jego dorobku poetyckim stanowi „szczytowy akord." W Powstaniu Listopadowym był żołnierzem Gwardii Narodowej, ale w walkach udziału właściwie nie brał poświęcając się działalności literacko-publicystycznej.

Wychowanek Liceum Krzemienieckiego, podopieczny Adama Czartoryskiego, wychowawca jego siostrzeńców, Zamojskich, ma swoją kartę w dziejach polskiej kultury. Jako historyk czuły na pamiątki narodowe z polecenia Czartoryskiego skrupulatnie szperał w państwowych i prywatnych zbiorach Europy, skupując dzieła polskie bądź obce, w których była bodaj wzmianka o Polsce. Uporządkował i wzbogacił zbiory Biblioteki w Puławach, a potem w dniach powstańczej klęski ratował je przed zniszczeniem. Gdy oddziały nieprzyjacielskie dotarły do Puław, przewiózł cenne dzieła na łodziach na drugą stronę Wisły, „sam na ostatniej trzymając straż tylną." Po kilku latach znalazły się one w Paryżu dając początek sławnej Bibliotece Polskiej.

Sienkiewicz po klęsce powstania uciekł za granicę podstępem, jako służący księcia Czartoryskiego, którego ekspediował rząd austriacki. *„Puściliśmy się więc agentem Metternicha w jego koczu i całkiem na jego koszcie"* – napisał do rodziny. Na emigracji jako sekretarz Towarzystwa Historycznego uczestniczył w sporach rodaków rozpamiętujących narodową klęskę. Jako znawca ojczystych dziejów sam sobie zadając pytania, dochodzi do wniosku: *„O co nam w życzeniach, pismach idzie? O wyswobodzenie Polski. – Co do tego potrzebnem? siła. – Gdzie znajdziesz pierwiastki tej siły? w Polszce samej. – Jakim sposobem? przez powstanie narodowe i przez ożywienie i skupienie pierwiastków siły narodowej. – Co to jest skupienie pierwiastków siły narodowej? Władza Rządowa – Czy brakowało w Polszce na pierwiastkach siły? nigdy – Czy grzeszyliśmy słabością władzy? zawsze. – Oto cała treść naszej polityki.*

Karol Sienkiewicz, historyk, bibliotekarz, erudyta, tłumacz, poeta, publicysta, organizator życia kulturalnego na emigracji zmęczony trwającymi tam waśniami partyjnymi, utraciwszy nadzieję, że jego wysiłek będzie służył jedynie sprawie ogólnonarodowej, usunął się z życia publicznego i umarł w osamotnieniu. „Pieśń uszła cało" i przez półtora wieku towarzyszyła walkom Polaków o niepodległość i sprawiedliwość społeczną. W przeróbce Mirandoli śpiewali ją rewolucjoniści polscy w roku 1905. Pod natchnieniem „Warszawianki" z 1831 „proletariatczyk" Wacław Święcicki w X Pawilonie Cytadeli napisał inną „Warszawiankę", zaczynającą się od słów: „Naprzód Warszawo! Na walkę krwawą, Świętą a prawą Marsz, marsz Warszawo." Śpiewana jest ona na melodię znanej pieśni powstańców z roku 1863 pt. „Marsz żuawów". Od koloru farby drukarskiej konspiracyjnego druku bywa nazywana „Złotą Warszawianką" Jej życiorys i dzieje to już inne, dalsze karty polskiej historii.

BARBARA TYLICKA

„Literatura jest pamięcią narodu"

ALARM w sprawie lektur szkolnych

Wypisane na arkuszu papieru hasło: **„Literatura jest pamięcią narodów"** wisi na ścianie między regałami Biblioteki Miejskiej w Mińsku Mazowieckim, przy ul. Warszawskiej 120. Hasło jest piękne. Z księgozbioru tej biblioteki stale korzysta około 1300 abonentów. Książek ma biblioteka 16 tysięcy, w tym ponad 12 tys. stanowią pozycje, które można wypożyczyć do domu. 4 tysiące – to egzemplarze dostępne na miejscu, w czytelni.

Największym powodzeniem wśród młodzieży cieszy się... lektura szkolna! Powód? Lektur brak w bibliotekach szkolnych, nie można ich również kupić w księgarniach Domu Książki! Do miejskiej biblioteki w Mińsku przyjeżdżają uczniowie z okolicznego Sulejówka i Mrozów. Ale i tutaj nie znajdą ani jednego egzemplarza „Antygony" – Sofoklesa, ani „Powrotu Posła" – Niemcewicza, bo książek tych nie ma! Skąpo jest z „Weselem" – Wyspiańskiego i „Nad Niemnem" – Orzeszkowej. Jedynym egzemplarzem „Giaura" – Byrona też trudno zadowolić licealistów...

Są to – rzecz jasna – tylko przykładowo wymienione pozycje, które ilustrują inne liczne braki. Zdarza się, że panie bibliotekarki – tak robi p. Krystyna Sado z Mińska Maz. – „ratują" młodzież, podsuwając własne, przyniesione z domu książki...

Jeszcze gorzej, jeśli chodzi o lektury (ostatecznie Mińsk Mazowiecki leży dość blisko stolicy) sytuacja wygląda w innych miastach, miasteczkach i wsiach oraz w bibliotekach szkolnych. W 1979 r. Instytut Programów Szkolnych – na zlecenie Ministerstwa Oświaty i Wychowania – przeprowadził badania sondażowe właśnie w szkolnych bibliotekach. Objęte nimi zostały biblioteki na wsi i w miastach wybranych województwach.

Z badań tych wynika, że aby spełnić w stopniu chociaż minimalnym potrzeby szkół, należałoby w ciągu najbliższych 5 lat, wydrukować około 33 mln książek! Uwzględniając zaś zapotrzebowanie indywidualnych odbiorców – czytelników, trzeba by zwiększyć nakłady poszczególnych tytułów do wysokości 10 mln rocznie! Potrzeby w dziedzinie wydawniczej lektur szkolnych są więc ogromne i muszą zostać rozwiązane. Choćby na byle jakim papierze...

– Bo jak bez książek uczyć języka polskiego i kształcić zamiłowanie do czytania? – mówią nauczyciele. – Czytać głośno w szkole?

Ogłaszamy alarm w sprawie lektur szkolnych

Chcemy wiedzieć bezpośrednio od Was, jak problem lektur i książek, które chcecie i powinniście przeczytać, przedstawia się w dostępnych Wam bibliotekach i wypożyczalniach. Jak sobie radzicie? Czekamy na Wasze listy.

Zainteresujcie tą sprawą wszystkich swoich kolegów ze szkół podstawowych i średnich oraz Waszych pedagogów, a przede wszystkim nauczycieli języka polskiego! Poproście ich w naszym imieniu!

Listy Wasze i Waszych nauczycieli będą argumentem w staraniach Ministerstwa Oświaty i Wychowania o naprawę tej od dawna zaniedbanej sytuacji! Będziemy wspólnie działać. Po opublikowaniu listów w „Świecie Młodych" przekażemy je do Ministerstwa.

Czekamy! Listy adresujcie: red. „Świat Młodych", ul. Mokotowska 24, 00-561 WARSZAWA. Na kopertach napiszcie: „ALARM".

ANNA GRZYBOWIECKA

Jadowite żabki z tropikalnej dżungli

W Ameryce Środkowej i Południowej, w bogatym roślinnym runie, żyją niewielkie żabki posiadające jaskrawe, ostrzegające ubarwienie. Ich wydzielina skórna zawiera substancje, których jeden gram mógłby uśmiercić 30 000 ludzi! Żabki te należące do rodziny *Dendrobatidae* – stały się sławne, gdy stwierdzono, że Indianie używają ich jadu do zatruwania strzał, których najmniejsze choćby draśnięcie powoduje śmierć ofiary. Jad ten paraliżujący mięśnie szkieletowe jest znacznie silniejszy od uzyskiwanej z roślin kurary, również używanej do zatruwania strzał. Tę śmiercionośną substancję odbiera się żabkom w brutalny sposób, bowiem żywe płazy przekłute ostrym przedmiotem przypieka się nad ogniem, a wydzielinę skóry w postaci kropelek zbiera do glinianych słoików. Ilość jadu oraz jego moc zależy od gatunku żabki. Jadem uzyskanym od jednego osobnika zatruć można 10–50 strzał.

Przyrodników zainteresować może ciekawy sposób rozrodu tych płazów. Najmniejsza podobno żabka świata, *Sminthillus limbatus* (ok. 1,5 cm), składa w wilgotnym środowisku jedno tylko jajko, w którym kijanka przeobraża się w żabkę jeszcze przed wykluciem. Inny gatunek, *Dendrobates auratus*, zwany przez tubylców „złocistą żabką do zatruwania strzał", ma ciekawe gody: samica składa na podłożu jaja, samiec je zapładnia i przenosi na swój grzbiet. Z przyklejonych jajek lęgną się kijanki, które przebywają pewien czas na grzbiecie ojca. W odpowiednim czasie samiec wychodzi na deszcz, a kijanki spłukane do kałuży dopiero teraz rozpoczynają samodzielne życie...

JAN BAJGER

Jadowite żabki z rodziny *Dendrobatidae* charakteryzują się jaskrawym, ostrzegającym ubarwieniem... Fot. M.S. Hoogmoed „Het Aquarium"

Moi staruszkowie byli autentycznie zaszokowani, gdy powiedziałam, że znowu nabrałam ochoty, aby zamienić się w prywatną sprzątaczkę. Mama nawet jęczała, że na pewno zaniedbam z tego powodu naukę i będą kłopoty, a tata dopytywał się, czy rzeczywiście jestem głęboko przekonana, że muszę. Argumentowałam, że jestem jak najgłębiej przekonana. Nie wiem, czy najumiejętniej to robiłam, ale w końcu pozwolili. Mama bardzo niechętnie, a tata... Sama nie wiem, co myśli na ten temat tata. Raz mi się wydaje, że jest urażony, a raz – że zadowolony. Trudno jest rozgryźć mojego tatę.

Natomiast całkiem łatwo jest rozgryźć w tej sprawie Ulkę. Ulka, która jest jeszcze bardziej od moich staruszków wstrząśnięta i ciężko oburzona. Że ja, uczennica liceum, osoba z tzw. dobrego domu, człowiek kulturalny i o zainteresowaniach – ona tak powiedziała – rozległych, nie wstydzę się najmować do mycia okien i pastowania podłóg. I że ona musi się w związku z tym wstydzić za mnie. I że dziwi się moim rodzicom, że mnie na takie bezeceństwo pozwalają.

Hm, bezeceństwo?!... Niby dlaczego?! Skoro są ludzie, którzy chcą zapłacić za to, żeby im ktoś umył okna, a ja potrzebuję pieniędzy, bo chcę sobie kupić narty, to chyba dobrze, żeśmy się wzajemnie odnaleźli, bo sprawa jest korzystna dla obu stron. I dla nich, i dla mnie. Pewnie, kosztuje mnie to trochę wysiłku i trochę wolnego czasu, ale przecież tak za frajer nikt mi tych pieniędzy nie da. Jasne, wolałabym wygrać w totolotka, ale po pierwsze – nie gram, a po drugie – nawet jakbym grała, to szansa byłaby minimalna. W ten sposób jest zaś całkiem realna, już się widzę na tych nartach.

A Ulka się nie widzi. Bo ona też się pasją Andrzeja zaraziła i też chciała w czasie ferii w góry pojechać, ale... już zrezygnowała. Podyskutowała w domu, dowiedziała się, że rodzice nie są w stanie jej tyle pieniędzy dać (co zresztą z góry, bez dyskusji na ten temat, było wiadome) więc stwierdziła, że trudno, że może kiedy indziej, ale nie w tym roku. I bynajmniej nie tak lekko jej ta rezygnacja przyszła, przyznała się, że miała ogromną ochotę i że jej bardzo żal. No, ale cóż, nie przeskoczy przecież niemożliwego.

To jej słowa. Tak powiedziała. Naskakując jednocześnie na mnie, że wyprawiam bezeceństwa. A ja po prostu chcę przeskoczyć niemożliwe. Pewnie, wcale nie mam stuprocentowej pewności, że mi się uda, ale wierzę w to. W dużej mierze zależy to przecież ode mnie, więc skoro tak bardzo chcę... A rezygnować od razu?! I odgrywać nieszczęśliwego cierpiętnika?! Może to i wygodne, ale mało praktyczne.

ANKA

Krzysztof Cugowski:

ŚPIEWAM, WIĘC JESTEM...

Pisano o Was tak: „mają tylu przeciwników ilu zwolenników, może tych pierwszych jest nawet więcej. Nagrywają i występują pod znakiem iście przekornym – „Budka Suflera". Zespół tworzą czterej lublinianie: Romuald Lipko – gitarzysta basowy, Andrzej Ziółkowski – gitarzysta, Tomasz Żeliszewski – perkusista i KRZYSZTOF CUGOWSKI – wokalista..."

– Przypomnij Krzysztof pierwsze nagrania, pierwsze piosenki...

– Zaczęliśmy od bluesa, zaraz potem była kompozycja Billa Weathersa „Sen o dolinie" z polskim tekstem Adama Sikorskiego. Namówił nas do nagrania tego utworu Jerzy Janiszewski z Rozgłośni Polskiego Radia w Lublinie, który zawiózł taśmę do Warszawy i wręczył ją Januszowi Kosińskiemu z Radiostacji Harcerskiej. Piosenka weszła na listę przebojów i dominowała na niej ...dość długo. Byliśmy zaskoczeni... Nagraliśmy ten „numer", następne zresztą też – w przedziwny sposób. Rozgłośnia lubelska dysponowała wtedy magnetofonem jednośladowym, więc robiliśmy nagrania „stuprocentowe", bez dzielenia sekcji, wokalu, chórków na osobnych śladach. Wystarczyło, że ktoś się pomylił i całe nagranie zaczynaliśmy od początku. Ciężka to była praca...

– Kiedy debiutowaliście na estradzie?

– W roku 1974 na imprezie „Eurorock" w poznańskiej Arenie.

– Niebawem ukazała się wasza pierwsza płyta długogrająca...

– ...której na dobrą sprawę nigdy nie było w sklepach. Pierwszy nakład 130 tys. egzemplarzy poszedł „jak woda", zaskoczone Polskie Nagrania dwa razy dodrukowywały, ale i tak cena czarnorynkowa oscylowała w granicach 500 zł.

– Nakład drugiej płyty był już większy...

– Tak, 160 tys. egzemplarzy. Ani za tę pierwszą, ani za drugą płytę nie otrzymaliśmy „Złotej Płyty". Na tym drugim longplayu znalazły się utwory „zerowe", nigdzie przedtem nie publikowane i nie wykonywane, spójne stylistycznie, muzycznie trudniejsze...

– Pojechaliście na nagranie do NRD, potem do Holandii, Berlina Zachodniego i RFN.

– I właśnie wtedy zaczęły się tarcia w zespole. Prawdę mówiąc nie było atmosfery do nagrań... Wprawdzie zagraliśmy jeszcze na festiwalu opolskim, wygraliśmy plebiscyt Non Stopu, ale... Coraz częściej dyskutowaliśmy o repertuarze. Koledzy byli zdania, że należy go maksymalnie uprościć, tworząc muzykę komunikatywną, komercyjną, co zresztą udało im się osiągnąć...

– Nadszedł moment rozstania...

– Tak, stało się to w końcu 1977 roku. Związałem się wówczas z wrocławską grupą „Spisek", grającą jazzrocka. Mogłem wreszcie realizować swoje pomysły, mogłem śpiewać soul. Długo przygotowywaliśmy swój pierwszy program, który pokazaliśmy w lipcu 1977 roku. Pierwsze trzy utwory zarejestrowaliśmy w studiu katowickim i jest to jedyny ślad po naszej działalności. Zrezygnowaliśmy ze współpracy ze względów finansowych. Taki zespół nie może się w Polsce utrzymać. Koncertów daliśmy zaledwie kilka...

– Wiodłeś zatem żywot solisty...

– Nagrałem nawet solowy album pt. „Wokół cisza trwa", który... jeszcze się nie ukazał. Zawiera piosenki Piotra Figla, Marka Stefankiewicza i moje do tekstów Bogdana Olewicza, Wojciecha Jagielskiego i Janusza Kondratowicza. Jest to płyta niejednorodna stylistycznie – to może być zarzut – będąca jednak wykładnikiem moich zainteresowań i możliwości interpretacyjnych. Uprzedzę twoje pytanie: czy w ogóle zrezygnowałem z zespołu? Oczywiście nie, wiedziałem jednak że nie potrafię go utrzymać. Nie występowałem więc na estradzie, jeśli nie liczyć udziału w imprezie „Rock w roku dziecka", której byliśmy współorganizatorami...

– Koniec wspomnień, jest rok 1980...

– Znalazłem muzyków – zaraz ich przedstawię, patrona – Młodzieżowe Centrum Kultury ZW ZSMP w Chełmie i... wróciłem na estradę. Zespół, który przyjął nazwę „Art Flash" tworzą: Mieczysław Jurecki – gitara basowa, Jacek Szaklewski Wojciech Jaworski – instrumenty klawiszowe i Wojciech Szczęch – saksofon.

– Śpiewałeś dwie piosenki w „Pożłacanym warkoczu" Katarzyny Gärtner i Ernesta Brylla...

– ...„Świeć się świeć" i „Gorzkie dymy nad miastem mym". To połączenie country ze śląską muzyką ludową chyba „zabrzmiało". Wśród wykonawców dominowali ludzie młodzi, na co dzień uprawiający country. Panowała znakomita atmosfera, chcieliśmy wypaść jak najlepiej. Chyba się udało...

– Pytania ostatnie o...„Budkę Suflera"; czy nie wrócisz do tego zespołu? Czy nie żałujesz, że stało się to, co się stało?

– Do pojednania artystycznego raczej nie dojdzie. Nasze drogi tak się rozeszły, że o spotkanie będzie trudno. Wprawdzie w roku ubiegłym jeszcze o tym myśleliśmy, ale nic z tego nie wyszło. Czy żałuję? Tak, bo w bardzo krótkim czasie zrobiliśmy bardzo wiele, a co najważniejsze, zostaliśmy zaakceptowani przez młodzieżową publiczność.

– Twoje hasło na dziś i jutro?

– Śpiewam, więc jestem...

Fot. **Leopold Sarnecki**

Kto miewa serca pełne burz,
Nie lada w duszy chłód,
Nie byle czego głód

– Kto być kimś innym chce,
Za kogoś podać się,
Na nic mu
Przepisy cnót,
Na które mnie stać tylko już, cóż...
Kto na wyrywki życie zna,
Kto wie, co komu dać,
Kto przed kim umie grać.

Kto po kim, a kto z kim,
Za ile, gdzie i z czym –
Nie zbieraj, gdzie się da
Świętych prawd,
Póki masz życia fach...

Z nieba zejdź,
Gdy przestrzeni masz lęk,
Gdy masz coś, kogoś, gdzieś,
Albo jesteś na nie.
Z nieba sfruń,
Skrzydła zwiń albo skróć,

Zdobądź się na ten ruch
– Będzie to życia clou.
Kto w nawias wciska znaną treść,
Kto z tego chce coś mieć,
Kto swoją bierze część,
Kto za co, a kto z kim,
Za ile, gdzie i z czym –

Nie zbieraj, gdzie się da
Świętych prawd,
Póki masz życia fach...
Z nieba zejdź (...) j.w.

Z NIEBA ZEJDŹ!...

Słowa: Wojciech Jagielski — Muzyka: Waldemar Parzyński

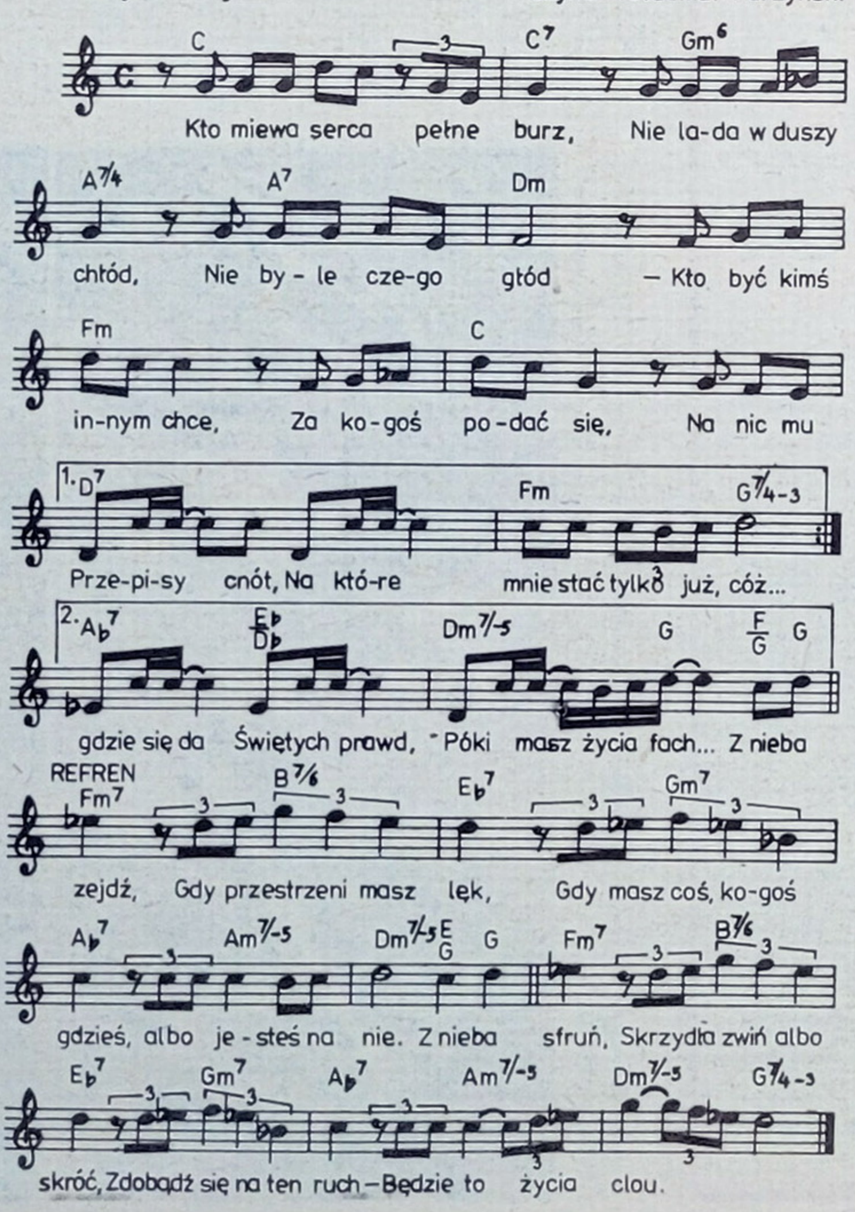

Redaguje LECH NOWICKI

Świat Muzyki — Gazeta Melomanów

Śpiewa: Stanisław Wenglorz

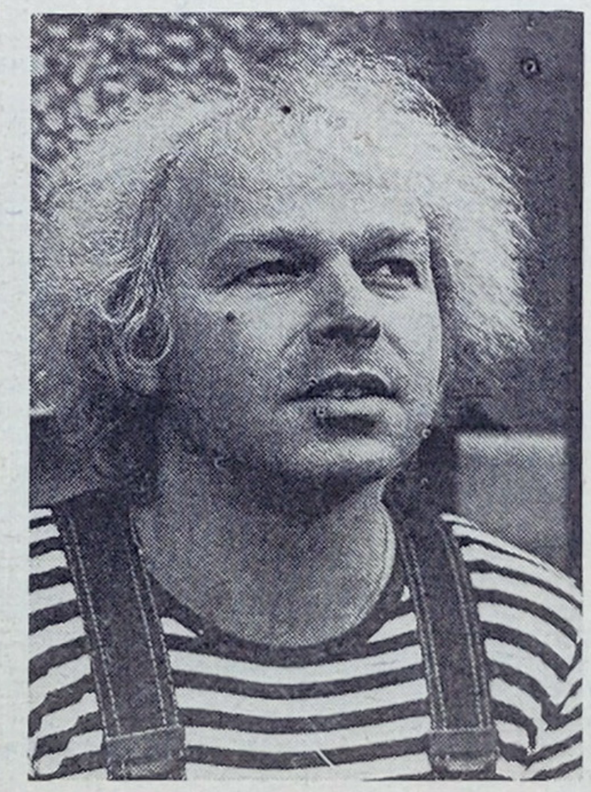

Fot. **Wiesław Dyczko**

TONPRESS PROPONUJE

Wyjątkowo ciekawa i urozmaicona jest październikowa propozycja Tonpressu. Zadowoli ona miłośników pop, jazzu, rocka, poezji śpiewanej, kabaretu. Sympatycy rocka otrzymują: drugi już singel Nick Gildera, tym razem z utworami „Electric Love" i „Worlds Collide", licencyjną płytę dobrze znanej w Polsce węgierskiej grupy „Skorpio", będącą fragmentem longplaya „Cyere Velem" oraz singel „Budki Suflera" z piosenkami „Nie wierz nigdy kobiecie" i „Rok dwóch żywiołów". Tonpress nie zapomina o muzykach jazzowych, anonsując ich nagrania osobną serią wydawniczą. Nie ukrywam, że Wojciech Karolak należy do moich ulubionych jazzmanów, dlatego namawiam do przesłuchania jego utworu „Discopus No 1". Nie jest to czysty jazz, ale... Debiutuje w firmie Tonpress Jan Pietrzak ładnie wydanym albumem (projekt graficzny Edwarda Lutczyna) zawierającym cztery piosenki: „Dziewczyna z PRL-u", „Ale najgorzej", „Żeby Polska" i „Tylko jeden" oraz Natasza Czarmińska, znana dotąd bywalcom klubów studenckich. Wiersze Herberta i Leśmiana brzmią w jej interpretacji bardzo przekonywająco. Tonpress wydaje od czasu do czasu single zespołów i solistów znanych tylko w swoich krajach. Dobrze to, czy źle – osądźcie sami przesłuchując nagrania belgijskiego tria „Puzzle" oraz brytyjskiej grupy „Mosiah". Najmłodszych czytelników Świata Muzyki ucieszy zapewne informacja, że będą mogli słuchać „Stefka Burczymuchy", „Zosi Samosi" i „Samochwały"; zapamiętajcie numer tej płyty: S – 352. I jeszcze jeden: S – 176 z piosenkami „Absolutnie ciebie lubię" i „Beztroski świat" w wykonaniu szkolnych zespołów taneczno-wokalnych.

SPRZYMIERZEŃCY NATURALNEGO ŚRODOWISKA

(**„Głos Pomorza"**). Rokrocznie w październiku – w ramach Dni Ochrony Przyrody – rozstrzygane jest współzawodnictwo szkolnych kół Ligi Ochrony Przyrody. W woj. koszalińskim istnieje 191 takich ogniw LOP, skupiających 22,5 tys. uczniów. Młodzież wykonuje wiele społecznie użytecznych prac na rzecz ochrony naturalnego środowiska, opiekuje się terenami zielonymi, prowadzi zimowe dokarmianie dzikiej zwierzyny – inicjuje liczne działania popularyzatorskie i wychowawczo-dydaktyczne z myślą o poszanowaniu przyrody. W ostatnim konkursie na najlepiej pracujące szkolne koło Ligi w woj. koszalińskim pierwszą lokatę wśród szkół podstawowych zdobyli uczniowie z Bukowa Polanowskiego przed swymi rówieśnikami z koszalińskiej „szóstki" i Charzyna. Natomiast wśród placówek ponadpodstawowych po raz pierwszy już triumfowało w tej rywalizacji II Liceum Ogólnokształcące im. Broniewskiego w Koszalinie przed zespołami Szkół Ekonomicznych i Mechanicznych w Szczecinku oraz „ogólniakiem" w Połczynie-Zdroju.

Jak wynika z dokumentacji konkursowej – uczniowie 17 tylko szkół z woj. koszalińskiego w ubiegłym roku szkolnym posadzili ponad 25 hektarów lasu oraz 3,9 tys. drzew i krzewów w swoich miejscowościach, wyłożyli 7,2 ton karmy dla ptactwa i czworonożnej zwierzyny, zbudowali 480 karmników i skrzynek lęgowych dla skrzydlatych podopiecznych oraz 20 pojników dla mieszkańców lasu, ogrodzili 50 mrowisk, zebrali 32 tony makulatury, otoczyli opieką 38 parków, zieleńców i pomników przyrody, a w 43 przypadkach ujawnili ślady kłusownictwa i wnykarstwa.

* * *

(**„Głos Wybrzeża"**). Od kilku lat młodzież gdańskich szkół, zarówno podstawowych, jak i średnich wykonuje szereg prac związanych z ochroną środowiska naturalnego. Dzięki niej po zakończeniu każdego sezonu turystycznego wywozi się z lasów komunalnych okalających Trójmiasto tysiące ton śmieci. W tym roku w ramach Dni Ochrony Przyrody uczniowie wielu szkół podstawowych pracowali również przy sprzątaniu nadbałtyckich plaż.

Na szczególne uznanie zasługują szkolne koła Ligi Przyrody działające w pięciu szkołach podstawowych. Dzięki młodzieży ze szkół nr 20, 24, 52, 64 i 73 oczyszczono plaże od Brzeźna do Jelitkowa. Ponieważ porządkowanie nadbałtyckich plaż nastręczało gospodarzom wiele trudności, inicjatywa podjęta w wymienionych placówkach oświatowych godna jest pochwały i szerszego rozpropagowania w przyszłym roku.

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Radzę gorąco poznać – w zadaniu „Abracadabra" – przyczynek do historii nazwy naszego kącika uniwersalnych gier logicznych i matematycznych.

Dla specjalistów od zadań z dziedziny „sokolego oka" mam dzisiaj aż dwa rodzynki. Do soboty!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

NUREK Z „BRAKIEM"

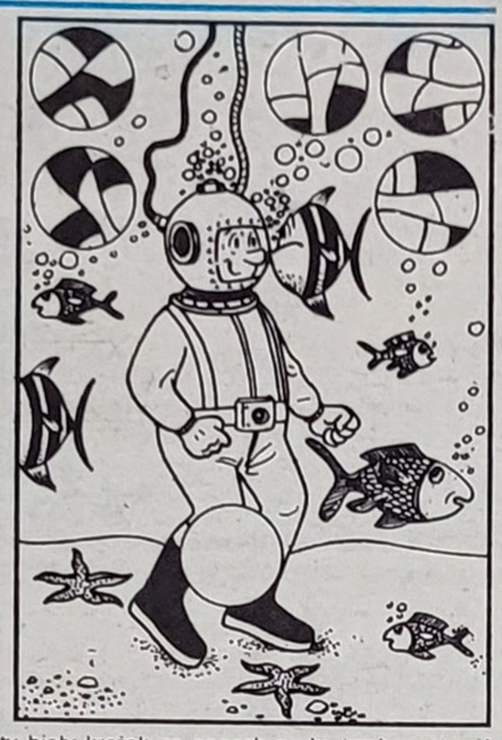

W pusty biały krążek na nogach nurka trzeba wstawić odpowiedni, pasujący tam krążek z fragmentem rysunku, uzupełniającym całość. Wybierz go spośród pięciu krążków, zamieszczonych u góry rysunku.

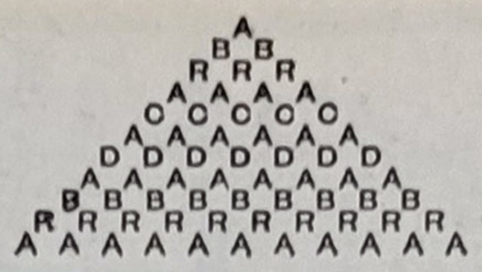

Abracadabra

Kiedy ja, Ben Akiba, byłem jeszcze młody, imię Abracadabra nosił bóg assyryjski. Natomiast wyraz Abracadabra, napisany w formie trójkąta (tak jak na ilustracji), noszono w Europie, w średniowieczu w charakterze amuletu przeciwko różnym zarazom, morowemu powietrzu, egipskiemu zapaleniu oczu i innym plagom, gnębiącym wówczas ludność. Czy możesz powiedzieć, iloma różnymi sposobami można przeczytać słowo Abracadabra, rozpoczynając zawsze od górnego A?

52 PUNKTY

Jeżeli chcesz dowiedzieć się, co się znajduje na tym obrazku, weź do ręki cienki mazak lub długopis i starannie połącz linią prostą kolejne punkty od 1 do 52. To wszystko!

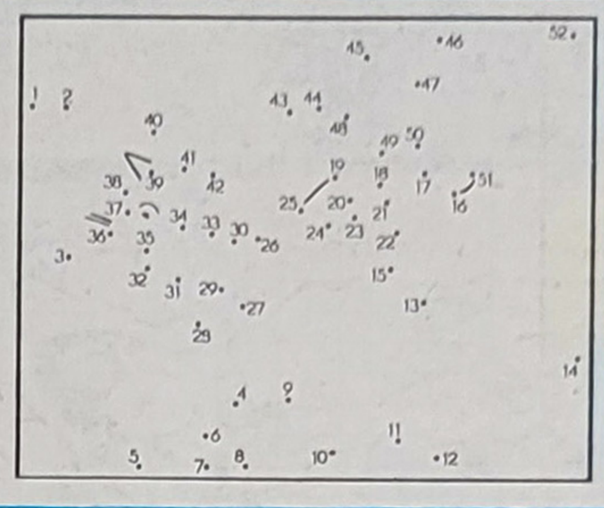

CZEGO TU BRAKUJE?

Na drugim, trzecim i czwartym obrazku brakuje po sześć drobnych szczegółów w porównaniu z obrazkiem pierwszym. Odnaleź te szczegóły, zaznacz je i porównaj z rozwiązaniami, które zamieszczę za tydzień.

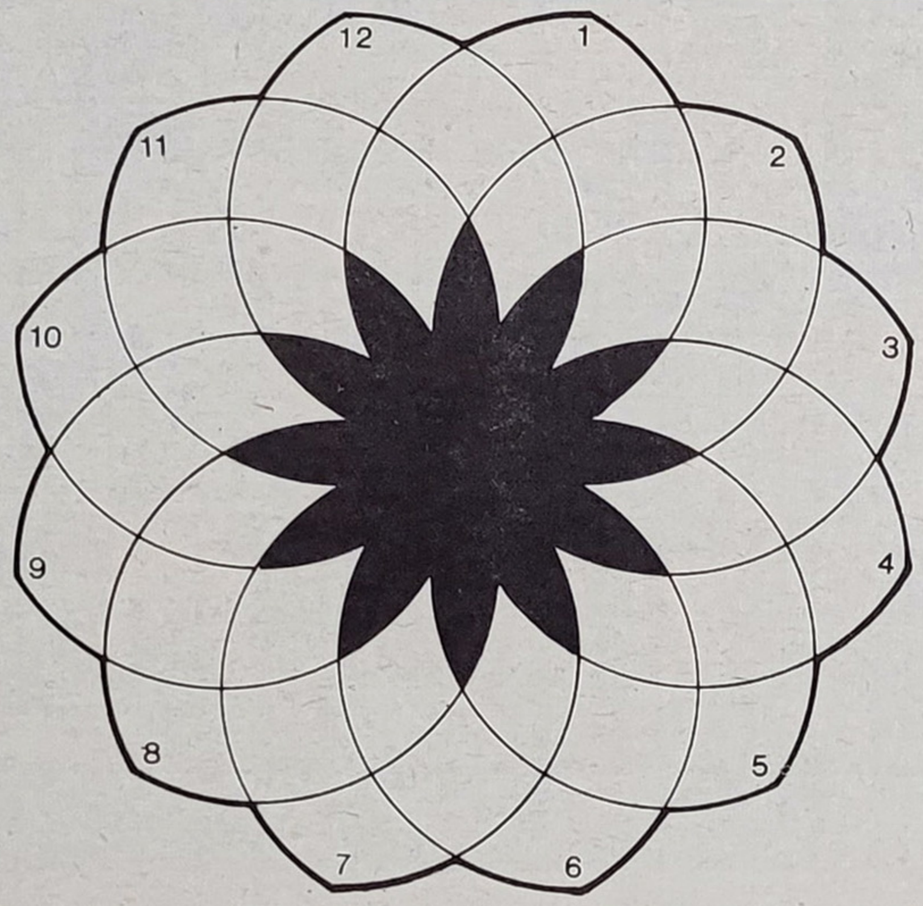

Zadanie premiowane nr 312

ROZETA SYLABOWA

Odgadnij wyrazy o podanych znaczeniach i wpisz je do diagramu tak, aby w każdym polu znalazła się jedna sylaba. Rozwiązanie napisz na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 312".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW

PRAWOSKRĘTNIE: 1) zajęcie, do którego potrzebny jest pług, 2) krzew owocowy, 3) może na niej osiąść statek, 4) mieszczanin krakowski, który w 1364 r. wydał wystawną ucztę dla przybyłych do Kazimierza Wielkiego monarchów, 5) mężczyzna w podeszłym wieku, 6) jednostka pieniężna danego kraju, 7) popłoch, 8) Cezary, bohater „Przedwiośnia" Żeromskiego, 9) samica rudego zwierzęcia łownego, 10) nie dolewaj jej do ognia, 11) przepływa przez Żelazową Wolę, 12) smolne łuczywo używane dawniej do oświetlania.

LEWOSKRĘTNIE: 1) chęć (lub nazwa jednej z dzielnic Warszawy), 2) placówka udzielająca fachowych porad, 3) dokonywanie pomiarów, 4) miasto z Muzeum Żup Krakowskich, 5) zużyte przedmioty nie przedstawiające większej wartości, 6) zastrzeżenie, 7) kojarzy się z główką i wymówką, 8) dawniej: człowiek wygnany z ojczyzny, 9) jeden z trzech rodzajów literackich (obok epiki i dramatu), 10) drzewo liściaste, 11) główna lub boczna w mieście, 12) część posiłku, danie.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 308 ze 125 numeru „Świata Młodych" z dnia 25.10.1980 r.

Prawidłowe rozwiązanie: Czynem poprzyj słowa (cel+urna = lucerna, cez + szop = oszczep, ryk + akty = krytyka, jak + Nike = Kenijka, ser + jawa = awersja, Ełk + miot = tomiłek, kot + Apia = tapioka, wat + Roch = Chorwat, paw + ropa = poprawa). Nagrody wylosowali:

Tadeusz Abratowski – Gorlice, Ilona Bernat – Zawiercie, Jerzy Ciba – Poznań, Janina Cielepała – Zielona Góra, Wojciech Grudziński – Lublin, Krzysztof Jakubczak – Lublin, Agnieszka Ostas – Kotuń, Tomasz Radwański – Warszawa, Piotr Reda – Głogów, Marek Żełobowski – Kraków.

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

CO W TRÓJKĄCIE: w górny trójkąt trzeba wpisać 6 (bo liczba w trójkącie powstaje z mnożenia liczby pierwszej przez drugą plus liczba trzecia), w dolny trójkąt trzeba wpisać 3 (bo liczba w trójkącie powstaje w wyniku mnożenia pierwszej liczby przez trzecią minus liczba druga. ZADANIE-BŁYSKAWICA: 1560. DWAJ MALARZE: malarz w berecie (po prawej) popełnił 7 błędów: zmienił długość dachu niższego domu, dorysował inne okno w wysokim domu, podwyższył słupek przy bliższym molo, zgubił rybę, wiosło z łodzi, kółko ze słupka, dodał 5 na pierwszej łodzi z lewej; malarz w kapeluszu: zmienił kształt górnego okienka w szczycie domu z prawej, kształt słupka poniżej drzwi tego domu, burtę łódki z nrem 5, zgubił baryłkę na przystani, kominek na domku, zmienił kształt komina na najwyższym domu, dodał kotwicę przy motorówce oraz jedną poprzeczkę na maszcie stojącym na prawo. ZAGRAJ W NAPARSTKI: można tak 1–5, 3–7, 7–1, 8–4, 4–3, 3–7, 6–2, 2–8, 8–4, 4–3, 5–6, 6–2, 2–8, 1–5, 5–6, 7–1.

– Nie pytaj, radzę ci.

– To nie zrozumiem co to jest minimalista.

– Ja ci dam przykład, to zrozumiesz – wtrąciła się Gabrysia. – W zakresie na przykład dóbr materialnych minimalistą jest nasz tata.

– Gaba! – powiedziała mama z wyrzutem.

Ojciec zmarszczył brwi.

– Nie uważam się za minimalistę pod żadnym względem – odparł dość ostro. – Nie będę zmieniał swoich zasad tylko po to, aby mieć poloneza i uchodzić w oczach mojej córki za osobnika zaradnego.

Gabriela zaczerwieniła się po uszy.

– Dla mnie minimalistą jest taki człowiek – ciągnął ojciec – który wszystkie wysiłki obraca na gromadzenie dóbr materialnych, podporządkowując temu celowi wszystko i zaniedbując wartości moralne. Kto się przed nimi zamyka, ten właśnie poprzestaje na minimum.

– Wciąż nic nie rozumiem – zmartwiła się Nutria.

– Uważam, że pan ma całkowitą słuszność – wtrącił z zapałem Janusz Pyziak, który się zasiedział i został zaproszony na obiad. – Podziwiam pana i podzielam pańskie poglądy.

– Drogi chłopcze, jeśli zamierzasz wytrwać przy Gabrieli czekają cię nieustanne wyrzuty z powodu minimalizmu.

Gabriela zaczerwieniła się jeszcze bardziej z przykrości. – Przepraszam, tato, ja nie chciałam... – zerwała się z miejsca i nad głową Pyziaka cmoknęła ojca w czoło. – Wiesz, że tak nie myślę... A że czasem jestem jadowita...

– To z powodu tęsknot minimalistycznych – podpowiedział jej Pyziak. – Ja bym też prosił o całusa.

– Hehehe – ponuro odezwała się Ida.

– O, Iduś – zauważył ją ojciec. – Jak ty ładnie dzisiaj wyglądasz. Jakoś inaczej niż zwykle. Co się stało?

– Dziękuję ci za wyszukany komplement – powiedziała Ida gorzko. – Nic się nie stało. ESD obcięła mi włosy.

– Prawda, że jej ładnie? – spytała mama z ciepłym spojrzeniem.

Wszyscy domownicy oraz Pyziak wpatrzyli się teraz w Idusię, która popadła w silne zakłopotanie.

W rzeczy samej, nowa fryzura była bardzo korzystna dla Idy. Króciutkie miedziane loczki błyszczały na jej nadspodziewanie kształtnej głowie, odsłaniając długą szyję i piękne wysokie czoło. Oczy, nareszcie pozbawione przesłony rudej grzywki, wydawały się nawet nieco większe. Strzyżenie ujawniło również, że Ida posiada brwi, których zamaszyste, ciemne łuki zmieniały zupełnie wyraz jej twarzy.

– Przynajmniej nie wyglądasz na garbuskę – oceniła Gabrysia z uznaniem metamorfozę siostry. – Powinnaś jeszcze pomalować rzęsy. Na ciemny brąz. Jesteś przystojna!

– Ja pierwszy to zauważyłem! – upomniał się Pyziak. – Już wczoraj! Wszystkie zresztą kobiety w tym domu są niezwykle urodziwe i mają interesującą osobowość.

Radosne poruszenie przy stole.

– Wszystkie? – spytała Nutria ze szczęściem w oczach.

– Wszystkie – ucieszyła się mama.

– Tak jest – rzekł Pyziak z mocą. – Wszystkie. Jak jeden mąż.

* * *

Ale Ida wcale nie czuła się urodziwa.

Ostatecznie miała oczy. I dobrze wiedziała, co odbija się w lustrze, kiedy w nie spojrzała przed wyjściem z domu.

Pan Paszkiet zadzwonił, żeby przyszła, bo ma dla niej niespodziankę, więc umalowała już te rzęsy na brązowo, w myśl wskazań Gabrysi, ale wcale nie czuła się lepiej.

– Fiu, fiu – powiedział starszy pan otwierając jej drzwi i ruszając siwym wąsem. – No, no. Ależ ładna panna do nas przyszła. Jestem zupełnie zaskoczony. Co się z tobą dzisiaj stało?

– Ostrzygłam się – odparła Ida z przygnębieniem. Nie należało do przyjemności dowiadywać się co chwila z innych ust, że normalny jej wygląd nie budził w nikim uznania. Jacy ludzie potrafią być nietaktowni.

Basia wyjrzała ciekawie z kuchni, obejrzała Idę w jej nowym wcieleniu i wydała z siebie aprobujący pomruk. – Jak się czuje Lucyper? – zmieniła temat zażenowana Ida. Zamknęła za sobą drzwi wejściowe i z przyjemnością skonstatowała, że z kuchni płynie zapach ciasta owocowego.

Cdn.

21

TYTUS, Romek i A'TOMEK

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031566
UKAZUJEMY SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, Teresa Maciszewska, Jerzy Majka (redaktor naczelny), Krzysztof Masłoń, Krzysztof Potrzebnicki, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk, Barbara Skórska, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)
TELEFONY
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13
TELEKS 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto NBPXV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
Opracowanie graficzne
Szarlota Pawel
Opracowanie techniczne
Małgorzata Was
Zam. 7446/G O-32
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Małgorzata Musierowicz

25

IDA SIERPNIOWA

Pani Lisiecka stała z otwartymi ustami.

– Nie daj się, szyderę sobie robi! – szturchnęła ją w bok Teresa.

– Ja się nie dam! Ja nie pozwolę! – nabrała nowego rozpędu pani Lisiecka. – Podam was do sądu za zniszczone mienie!

– Ida, czy zniszczyłaś tej pani jakieś mienie? – spytał surowo tata Borejko i z chlupotem poruszył stopami.

– To być może – przyznała Ida. – Nie przyglądałam się specjalnie, po czym chlastam.

– Zniszczyła, zniszczyła! – prędko wtrąciła pani Lisiecka, czując, że przeciwnik mięknie. – Za grube pieniądze!

– Za jak grube? – tata Borejko zawiesił głos, z zainteresowaniem.

– No... nie wiem, ale...

– Proszę pani – mama Borejko wyjrzała pojednawczo zza pleców męża. – Proszę się zastanowić, ile jesteśmy pani winni... i wpaść do nas wieczorkiem, to sobie to omówimy ze spokojem. O, tu piszę adres. Proszę.

– Milu, jesteś niedościgniona jako mediator – zauważył ojciec z uznaniem, kiedy gniewna Lisiecka odeszła z Teresą w deszczową dal, ciągnąc za sobą opornych synów, którzy pewnie woleliby jeszcze posłuchać jak rudy kościotrup dostaje za swoje. – Nie mam słów, by ci wyrazić mój podziw. Byłem już bezradny. Na domiar złego przez cały czas stałem w głębokiej kałuży. Ida, moje dziecko, w domu wyjaśnisz nam okoliczności, w jakich udało ci się pomalować dwóch tak ruchliwych chłopczyków. Pieniądze, które wyłożymy na pokrycie kosztów twego odruchu, będziesz oczywiście zwracać nam na raty. Jest to konieczne ze względów pedagogicznych, sama rozumiesz.

– Rozumiem, tato – zgodziła się Ida i pomyślała, że czego jak czego, ale klasy i wdzięku mają jej rodzice pod dostatkiem. – Nie wiecie wcale jak was kocham – powiedziała do ojca i matki.

– No, no, nie podlizuj się – odparł na to ojciec Borejko i znów udało mu się powściągnąć uśmiech, który uporczywie pchał się mu na usta. – I tak cię w domu bezlitośnie skatuję. Nahajem po białych plecach.

* * *

Niedzielny obiad bezmięsny udał się mamie i Gabrysi nad podziw. Ugotowały zupę kalafiorową, usmażyły stos naleśników z serem i cynamonem, na deser upiekły jabłka w kruchym cieście.

– Jedzonko było pycha – podsumowała Pulpa, kończąc trzeciego naleśnika i biorąc się za deser. Tłuściutki podbródek Pulpy ociekał masłem, na czubku nosa widniał kleks twarogu, a pulchne usteczka przypudrowane były cynamonem. – Szkoda, że się jeszcze nie najadłam – westchnęła.

– Patrycjo, powinnaś zacząć już dbać o linię – zwrócił jej uwagę ojciec.

– Po co? – zdumiała się Pulpa.

– Żeby nie popaść w otyłość. Tłuste panienki nigdy mi się nie podobały.

– A dlaczego ja się mam tym martwić? – spytała Pulpa, w zamyśleniu oblizując łyżeczkę.

– Powinnaś sobie ustalić jakąś dawkę maksymalną i...

– Ja nie wiem co to jest maksymalna.

– Największa.

– A minimalna?

– Tatuś, a co to jest minimalista? – wtrąciła Nutria, entuzjastycznie spożywająca jabłko w cieście.

– Oto początek maniakalnej serii pytań i odpowiedzi – oświadczył ojciec z odcieniem irytacji. – Minimalista jest to ktoś, kto poprzestaje na najmniejszych wymaganiach i aspiracjach.

– Ja już chyba cię nie mogę spytać, co to są aspiracje? – nieśmiało wybełkotała Nutria poprzez kruche ciasto.

Dokończenie na str. 7